Miesięcznie 95 groszy
Prenumeratę przyjmuje każda poczta!

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. Niedziela, dnia 26 maja 1935 r. Nr. 20.



W ciszy wieczoru

Liljowo-szary zmrok na ziemię zwolna spływa,
Otulając cicho drzew białe okiście — —
Coraz ciszej wokół, coraz mroczniej, srebrzyściej,
Przedwieczornych dumań chwila idzie szczęśliwa..

Dobrze jest zapomnieć o trudach dnia całego,
Nie myśleć, jak życia krzyżują się koleje
I w wiosny rozkwicie — widzieć nowe nadzieje,
Zapowiedź radosną szczęścia wyśnionego...

Dobrze jest zatopić oczy swoje zmęczone
W pąki drzew kwieciste, młodej zieleni więzie —
I poprzez zmartwychwstałe, młodziutkie gałęzie
W nowe życie wzrok swój kierować olśniony..

Danuta Wyrybkowska.

MARJA REUTT

Pani Gabrynia

4)

Wspomnienia okropności wojny, krzywd, krwi i trupów.

Gdy żona w dziecinnym pokoju kładła do snu maleństwa, on chodził po salonie miarowemi krokami, a za nim krok w krok szły wspomnienia, tylko, że gdy on zawracał od progu, one szły dalej, rozpływały się w nicość, ustępując miejsca drugim.

Ejtkuny — Wierzbołowo.

— Po wypadzie na wieś, skąd wrócono w nieładzie, wywołując i potęgując popłoch w szeregach pozostałych w Wierzbołowie żołnierzy, dowództwo zarządziło odwrót, by zorjentować się w sytuacji przeprowadzić śledztwo w sprawie popłochu i zrobić wywiad, gdzie, i czy znajdują się w pobliżu granicy wojska niemieckie.

Po uciążliwym marszu w skwarze sierpniowego upalnego dnia i kurzu niebrukowanych dróg, zatrzymali się postojem pod wsią niedaleko Wyłkowyszek.

Strudzony był marszem i niewyspaniem tak dalece, że nie chciało mu się iść do chaty wójta, gdzie oficerowie urządzili sobie kasyno. Usiadł na przyzbie, przymknął oczy i zadrzemał.

Zbudziło go delikatne, nieśmiałe wołanie ordynansa.

— Panie poruczniku, dobrego rosołu z kury ugotowaliśmy, to ja przyniósł, żeby pan porucznik zjadł.

Rosół pachniał smacznie, mina żołnierza była tak zachęcająco poczciwa, że nie namyślając się, wyciągnął rękę po podawany mu garneczek.

Gdy przełknął kilkanaście łyżek, zwrócił uwagę na naczynie, w którem znajdował się rosół.

Białe, z grubego fajansu, okrągłe, dosyć płaskie z uchem, przypominało pewne dyskretne naczynie, stojące przeważnie w nocnej szafce, lub pod łóżkiem.

— Skąd dostałeś ten garneczek? — zapytał ordynansa.

— Chłopak wyszczerzył zęby, zadowolony z siebie.

— O, my dużo tego nabrali, jak rabowali we wsi, tam przy każdej chacie wisiało po jednem na płocie. Zabieraliśmy, bo takie poręczne.

Łyżka wypadła mu z ręki. Chwyciły go torsje.

Długo potem, bardzo długo nie mógł jeść rosołu z kury.

* * *

Zmienił się obraz, odbity w jego mózgu.

— Moroczno — maleńka mieścina — osada zagubiona w błotach poleskich.

Po odwrocie z Prus Wschodnich stali tam blisko rok. Chroniły ich od najścia Niemców błota i rzeki.

Nie było potyczek, bitew, walk.

Stali w miasteczku i sąsiednich wsiach, wałęsając się po okolicy, robiąc niby wywiady jak daleko jeszcze nieprzyjaciel. Rozleniwieni żołnierze włóczyli się również, obdzierając zielone owoce z drzew, ogórki z sadów. I przyszła epidemja biegunki i zdziesiątkowała do tego stopnia oddziały, że musieli je uzupełnić surowym materjałem poborowych.

Przyjechało kilkaset rekrutów z różnych gubernij Centralnej Rosji, zastrachanych, oszołomionych, ogłupiałych.

Ćwiczono z nimi po kilka godzin dziennie, a w wolnych chwilach starsi żołnierze zabawiali ich gadkami o okrucieństwie Niemców, o strasznej sile ich pocisków.

Pewnego dnia dowódca brygady zarządził przegląd.

Niemcy przebrnęli już błota i usadowili się o kilka metrów dalej w stronie Newla, urządziwszy okopy i zasieki. Ale o tem nie mówiło się oficjalnie i głośno. Za to pocichu szykowano się do stopniowego ewakuowania Moroczna, Mutwicy i wsi okolicznych.

Dowódca korpusu zarządził przegląd nowo przybyłego uzupełnienia żołnierzy, co to nie zdążyli przejść okresu przeszkolenia rekrutów.

Ustawiono ich w czworobok, pouczono jak mają stać na baczność i odpowiedzieć generałowi na jego powitalne i pożegnalne słowa.

Czekali długo. Słońce prażyło niemiłosiernie, ludziom dokuczało gorąco i pragnienie, pot lał się z nich strugami, ręce nienawykłe omdlewały od trzymania karabinów.

Nareszcie głośne uderzenia w bęben i dźwięk donośny trąb ogłosiły zbliżanie się dowódców i generalicji.

Na samym przodzie lśniący od orderów i pozłoty szlif jechał generał wysoki, tęgi o nalanej twarzy i wydatnym brzuchu. Otaczali go pułkownicy i majorowie, kolorowi od wstęg orderowych, lampasów i otoków, a za nimi posuwali się skromniejsi, mimo to również świetni i barwni kapitanowie i porucznicy.

Cały ten orszak jechał wolno, miarowym krokiem przy głośnych dźwiękach bębnów i trąb.

Wreszcie stanęli. Umilkły bębny i trąby, tylko z oddali niby wtór dobiegł huk i świst dział niemieckich.

Z ręką przy daszku generał wyrzucił z płuc okrzyk powitalny:

— Zdorowo rebiata! (Jak się macie dzieci).

Odpowiedziało mu grobowe milczenie.

Z ręką przy daszku spojrzeli przed siebie wodzowie i oniemieli ze zdumienia i w tem oniemieniu zastygli w pozycji służbowej.

Plac był pusty. Ani śladu żołnierzy, tylko krzaczki błotne, karłowate, a gęste chwiały się jak osika, a w dali huczały pociski armat niemieckich. Nieprzyjaciel przypomniał o sobie, ostrzegał, groził temi miarowemi, wyrzucanemi jakby od niechcenia pociskami z potężnych luf.

Zobaczywszy miny dowódców i te ich ręce przy daszkach czapek i te postacie wyprostowane, wyciągnięte zda się jak struny i to „zdarowo rebiata“ — wibrujące w powietrzu pustego placu, dusił się od śmiechu wewnętrznego, zapatrzony w przestrzeń, w te krzaki poruszające się podejrzanie, wsłuchany w odgłos dział niemieckich.

W pełnem godności milczeniu, krokiem służbowym zawrócili dowódcy do kwatery, żując upokorzenie i gniew.

Rekrutów udało się ściągnąć z za krzaków dopiero po paru godzinach. Wyczołgali się ostrożnie na odgłos trąbki wzywającej na kolację.

— Durnie jedne, skurczybyki, świńskie mordy, psie syny — ryczeli dowódcy, gdy żołnierze zebrali się na apel — coście zrobili najlepszego. Taki wstyd, taki skandal! Zasłużyliście na rozstrzelanie.

— A oni swoje w kółko: — Niemcy strzelali. —

To znów inny film...

Zima spędzona w głuchej, odciętej od świata i ludzi miejscowości. Oddziały porozrzucane po sąsiednich wsiach, rozlokowane w niskich, dusznych chatach, ścieżki i drogi zasypane po kolana śniegiem.

Dowództwo pułku, w którém on służył, rozlokowało się w chacie o izbie niskiej, bez podłogi, z sufitem z cienkich nieszczelnie ułożonych desek.

W izbie tej urzędowano, przyjmowano posiłki i grano w karty.

W rogu izby stała beczka spirytusu i beczka wina czerwonego, przysłane specjalnie jako antydotum cholery dla żołnierzy, stale dopełniane.

Po całych nocach oficerowie przy świetle naftowej lampki i świec grali w „chemin de fer“ i pokiera. Całą noc rozlegały się okrzyki — Maksym, Iwan, Fedor, wódka, wino — i Maksym, Iwan, Fedor drżącemi ze zmęczenia i senności rękami nosili i napełniali alkoholem nie kieliszki już, ale zwykłe szklanki i stawiali przed swoimi panami.

On w karty nie grał, wódki nie pijał, ale za to kochał się i pisał długie, bardzo długie listy do narzeczonej, pełne tęsknoty i poetyckich uniesień.

Pamięta... było to jakby dziś.

Wieczór... izba oświetlona jedyną naftową lampką. Dowódca pisał coś przy stole, wysuniętym na środek izby. Jego łysa głowa połyskiwała niczem kula bilardowa. Na dworze panoszył się mróz i zamieć śnieżna. W izbie było gorąco i duszno, unosiły się opary z alkoholu i dym papierosów.

Na ławach pod ścianą usiedli oficerowie i oparłszy głowy o ściany, drzemali. Brakowało tylko adjutanta por. Maksymowa, ale nie interesowano się, gdzie on mógł być. Chytry, lizus, fałszywy i pragnący wybić się kosztem innych, nielubiany był przez kolegów.

Oparł się o odrzwia i z nudą wpatrywał się w błyszczącą czaszkę dowódcy.

Zauważył wtem, że na łysinę upadła duża bronzowa kropla i rozprysła się w formie pająka, za nią druga, trzecia, czwarta, piąta... Liczył je bezwiednie, bezmyślnie.

Pułkownik machinalnie potarł łysinę i palce przytknął do nosa, by momentalnie, jak sprężyną odrzucony, skoczyć z krzesełka.

— Wasyl, — wydarł mu się krzyk z gardła — zobacz co się na górze robi...

Wasyl stuknął obcasami, zawrócił na pięcie i przepadł w czeluści sieni, by wypłynąć z niej za chwilę. I znów stanął na baczność z wypiętą piersią i zsuniętemi stopami.

— Pana porucznika Maksymowicza brzuch boli i załatwia się w sianie, bo na dworze bardzo zimno.

Oficerom aż oczy z orbit wychodziły od powstrzymywanego śmiechu, wobec oburzenia dowódcy na nielubianego kolegę.

— Wody i miskę! — wrzeszczał jak opętany.

Trzymając głowę nad miednicą lał sobie na łysinę zimną jak lód wodę, parskając niczem koń stepowy, z gardła dobywał mu się cały repertuar wyzwisk w jakie obfituje śpiewna mowa rosyjska:

— Psi syn... świnia nieoskrobana i t. d. i t. p.

— — — — — — — —

Ach to czekanie ustawiczne, te ciągłe odwroty i postoje zda się bez końca, a wreszcie wymarsz do Rumunji.

Według tajnej umowy rosyjsko-rumuńskiej mieli Rosjanie i Rumuni zbudować wspólnie dwa mosty pontonowe na Dunaju zaraz po podpisaniu traktatu.

— — — — — — — —

Rosjanie zaczęli budować ten most jak tylko stanęli na ziemi Rumuńskiej, to jest na 10 dni przed oficjalnem ogłoszeniem i podpisaniem umowy. Pracowali w pocie czoła dnie i noce i skończyli go na 12 godzin później niż Rumuńczycy, którzy przystąpili do budowy po podpisaniu traktatu, budowali go na wesoło ze śpiewem i żartami, bo cieszyli się z ugody Rosyjskiej, obiecując sobie z niej dużo korzyści. Nie męcząc się i nie stękając lub klnąc, skończyli swą pracę o 12 godzin wcześniej niż Rosjanie, którzy prawie połowę już mieli zrobione.

* * *

Zadomowili się w Rumunji bardzo prędko. Rumuni wino mieli tanie, owoce doskonałe, dziewczęta zgrabne i z temperamentem.

Powitano wojska rosyjskie z honorami i radością jak zbawców i dobroczyńców.

Urządzano na ich cześć bankiety, oddawano najlepsze domy na kwatery, najładniejsze dziewczęta na kochanki.

Rosjanin był dla nich symbolem potęgi, siły i mocy. — Wypędzi Niemców, odbuduje kraj, sypnie pieniędzmi!

Tak sobie wyobrażali Rumuni pomoc rosyjską, a rzeczywistość mówiła inaczej.

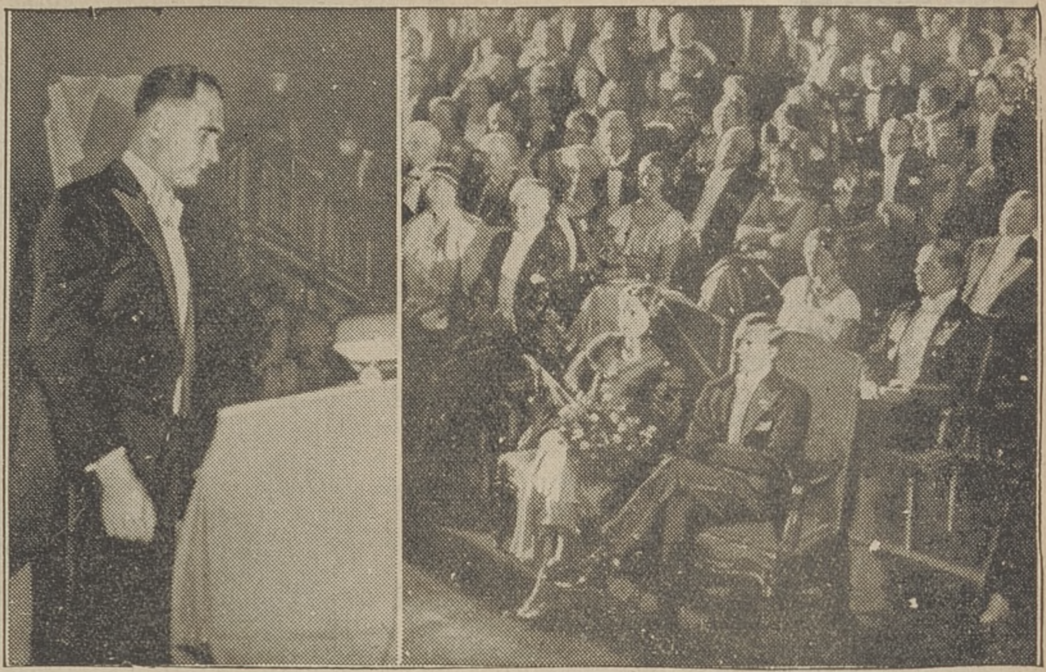
Rosjanie pili, kochali się, grabili, śpiewali tęskne dumki i romanse cygańskie, a Niemcy plądrowali kraj, zajmowali coraz to większe tereny naftowe i jako haracz wywozili darmo naftę.

A Moskale odstępowali bez potyczek, z potyczkami, bo poco się bić, poco przelewać krew za jakichś tam Rumaneszków. Z jakiej racji?

— — — — — — — —

Odstępowali więc ciągle, cofali się stale, aż wreszcie dowódca dywizji, ratując honor bohaterskiej armji rosyjskiej, wydał rozkaz ostry — Nie wolno się cofać z placu boju. Pozycja musi być broniona do ostatniego wystrzału, nie wolno schodzić z placówki z nabojami w jaszczach!

Tymczasem, tego samego dnia po wydaniu rozkazu, po ostrej potyczce z Niemcami cofnęła się linja obronna Moskali — dowództwo dywizji posunęło się w tył daleko poza linję, piechota odstąpiwszy parę kilometrów, zabrała się do okopywania za pagórkami. Na wysuniętej placówce została część 5-ej baterji artylerji konnej i szwadron ułanów.



Zastępca kanclerza Hitlera, minister Rudolf Hess przybył ostatnio do Sztokholmu i przemawiał na zebraniu Tow. szwedzko-niemieckiego. W przemówieniu swem podkreślał pokojowe dążenia Niemiec i chęć współpracy na polu kulturalnem i gospodarczem. Na zdjęciu widzimy szwedzkiego następcę tronu Gustawa Adolfa z żoną Sybillą.

Zapadał wczesny mrok, mżył deszcz, siekąc niby lodowemi igiełkami. Stali na otwartem polu. Nigdzie krzaczka, ni żywej duszy przyjaznej, czy nieprzyjaznej.

— Co tu będziemy stali — zaczęli naradzać się oficerowie — noc nadchodzi, deszcz, nieprzyjaciela nie widać, swoi daleko. Lepiej wracajmy.

Dowódca oddziału wahał się. Rozkaz jest rozkazem. Kazano im bronić tego odcinku, do ostatniego naboju. Rotmistrz W... wzruszył ramionami i orlim swym wzrokiem objął okolicę.

Pusty ugór, miejsce otwarte, szare, monotonnie smutne, jedynie na prawej stronie tuż przy nieboskłonie buda, ni to szopa, ni to szałas samotnie wyrastała ponad szarą ziemię.

Uśmiechnął się cynicznie skrzywieniem warg i wskazał ręką szopę.

— Walmy w tę budę do ostatniego wystrzału i wracajmy do miejsca postoju. Nie będziemy nocować, jak zające w polu na pośmiewisko Niemcom, którzy ani myśleli nas ścigać i prawdopodobnie jedzą obecnie kolację.

Wahał się trochę dowódca, ale wkońcu przyznał rotmistrzowi słuszność. — Rzeczywiście na co czekać?!

Otworzyli ogień, skierowawszy go na szopę.

Pociski z hukiem i poświstem leciały na budę, padając za, lub przed, lub w samą szopę.

Wybuchały pociski, ryły się głęboko w ziemię, wyrzucały kłęby piachu i dymu, miarowo stukał karabin maszynowy tatatatata...

I tak do ostatniego. Umilkły armaty, karabin maszynowy przestał terkotać i oddział zawrócił do wsi, gdzie stał sztab.

Dowlekli się przed apelem nocnym.

Dowódca, major, zziębnięty, przemoknięty do nitki, głodny i zmęczony zdawał raport szefowi sztabu ze swych wyczynów.

— Broniliśmy się do ostatniego naboju. — Niemcy cofnęli się na dawne pozycje, zeszliśmy z posterunku z powodu braku amunicji i odwrotu nieprzyjaciela.

— „Mołodiec“*) — poklepał go pułkownik po ramieniu.

— Każę umieścić o pana bohaterstwie wzmiankę w rozkazie dywizyjnym i poszlę raport do Petrogradu.

—o—

I znów cofali się, aż stanęli w pewnej wiosce, o mięszanej ludności rumuńsko-tatarskiej.

Wojna i nastroje w Rumunji miały swój odrębny, swoisty charakter, jak odrębne jest życie i warunki polityczne tego kraju.

Gdy zwyciężali Niemcy, wtedy Tatarzy lub Bułgarzy, zamieszkujący w większości jakiejkolwiek wsi, cieszyli się, triumfowali i palili drugą połowę wsi, zamieszkałą przez Rumunów, mordując ludność, gdy broniła swej własności.

Naodwrót, gdy zwyciężali Rumuni z Moskalami, wówczas wiwatowano po stronie rumuńskiej i łuny pożaru wsi tatarskich lub bułgarskich uświetniało uroczystości radosne.

Było to we wrześniu 1916 roku. Przyjechali nad wieczorem do tatarskiej wsi koło Gałaczu.

Uderzyła ich cisza panująca we wsi. Żadnego ruchu, ni żywej osoby tylko bydło i trzoda porykiwały żałośnie w oborach i zagrodach i wyły psy złowróżbnie koło chat.

*) Zuch.

EMIL GABORIAN

Ajent policyjny

14)

Nie przeczyła niczemu, lecz zwalała wszystko na zły los, który jednym daje zbyt wiele, zaś drugim odmawia wszystkiego. Niestety zaś, — ona do najszczęśliwszych nie może być bynajmniej zaliczana. W ostatnim naprzykład zdarzeniu, — cóż ona zawiniła? Potrójna zbrodnia krwią obryzgała jej szynkownię, to prawda. Lecz przecież i w najbardziej renowanym zakładzie na bulwarach, wypadek podobny mógłby się wydarzyć?...

— Temu, co się tam stało — odpowiedział jej na to sędzia — ty, istotnie, może i nie jesteś nic winna. Powiadam: „może" bo nic nie wyklucza hipotezy, że i ty w zbrodni tej umaczałaś rękę. Milczeniem jednak uporczywem tamujesz bieg sprawiedliwości i to jest twoja wina niewątpliwa. A wiedzieć musisz dużo, jeżeli nie wszystko. Strzeż się więc, zacna pani Szupe, bo bardzo źle może być z tobą.

— Powiedziałam policji już wszystko, co wiedziałam.

— Ja też niczego więcej nie pragnę, jak tego tylko, byś wszystko powiedziała. Rozumiesz mnie, pani Szupe?... Wszystko. Rozpoczynaj więc opowiadanie od początku.

Pan Segmuller musiał być zadowolony. Poprowadził indagację tak, iż zacna wdowa zeznawać miała sama, bez uprzednich zapytań. A było to rzeczą dużego znaczenia. Zapytania, czynione wprost, mogły bowiem oświetlić chytrą zbrodniarkę, co już jest sprawiedliwości wiadome, a czego szuka ona po omacku.

Pozostawiając zaś wszystko inicjatywie oskarżonej, można było od niej uzyskać w nieskazitelnej formie wszystko to, co ona sama sędziemu podsunąć pragnęła. Zaś tak Lekok, jak i p. Segmuller wątpili, iż będzie to wtedy bajeczka obmyślana w porozumieniu ze „wspólnikiem", który miał możność dania jej poleceń takich a takich, gdy udawał pijaka w areszcie komisarjatu, znajdującego się przy rogatce włoskiej.

— Wszystko to stało się bardzo zwyczajnie, a zwłaszcza nagle, mój dobry panie — rozpoczęła swe zeznanie szynkarka. — W ten dzień zapustny siedziałam sobie najspokojniej w dolnej izbie, przy kominku, nie spodziewając się już gości, gdy raptem drzwi się otworzyły i do izby weszło trzech mężczyzn w towarzystwie dwóch kobiet. Towarzystwo to, po zajęciu miejsc, kazało sobie podać salaterkę grzanego wina z korzeniami, który to napitek jest sławą mej kawiarni, ponieważ, nie chwaląc się, jestem mistrzynią w jego przyrządzaniu. W dziesięć minut napój był gotowy, a po jego podaniu udałam się do siebie na górę, ażeby wyporządzić odzież mego chłopca.

— I zostawiłaś te osoby tak same?... no!... byłby to bezmierny dowód zaufania!

— Eh, panie sędzio! Nie obawia się złodziei ten przecież, kto nic niema!

— Biedaczko nieszczęśliwa!

— Otóż siedziałam tak na górze dobre pół godziny, gdy nagle ktoś zawołał na mnie z dołu „Hej stara". Schodzę nie spiesząc się i cóż widzę?... Jakiegoś nowego gościa, który tylko co wszedł do mego zakładu. Ten kazał sobie podać dla odmiany, duży kielich piołunówki. Podałam mu go bez ociągania się, przy osobnym stole, w rogu izby.

— I znów udałaś się na górę zapewne — ironicznie zapytał sędzia.

Czy wdowa Szupe wyczuwała szyderstwo? — trudno było cośkolwiek z jej fizjognomji wywnioskować.

— Tak właśnie zrobiłam, jak pan sędzia trafnie odgadł — ciągnęła dalej — tylko, że wtedy, zaledwie wzięłam igłę do ręki, usłyszałam na dole piekielny hałas. Natychmiast zleciałam ze schodów, ażeby łagodzić, lecz na co się to zdało! Ci trzej, którzy przybyli pierwsi, rzucili się razem na tego jednego i zaczęli go okładać pięściami. Zaczęłam krzyczeć, że mi omal gardło nie pękło, gdy w tem ten, który walczył w pojedynkę, dobył rewolweru z kieszeni i dwoma strzałami powalił dwóch przeciwników. Wtedy zakryłam oczy fartuchem, by nie patrzeć na krew, której widoku nie znoszę i zapadłam jakby w omdlenie. Po jakimś czasie, gdy poważyłam się odsłonić oczy, ujrzałam trzy trupy na podłodze, zaś na progu wysadzonych drzwi stał pan Żewrol, na czele swych ajentów. Oto wszystko co wiem, w tej okropnej sprawie — zakończyła swą opowieść szynkarka.

Gdy skończyła, pan Segmuller bez jednego słowa powstał ze swego siedzenia i zbliżył się do swego sekretarza, by przejrzeć napisane.

Lekok, z kącika, w którym cicho siedział, nie przestawał się wpatrywać w obwinioną.

— Ta jędza jest przekonana — mówił sobie w duchu — że to już koniec i że jej zeznanie pójdzie teraz dalej, by zrobić swoje.

Jeżeli taką właśnie nadzieję pieściła w swej duszy zacna wdowa Szupe, to rychło bardzo spotkał ją zawód.

Pan Segmuller bowiem, po zrobieniu swemu kanceliście paru uwag żartobliwych, zasiadł ponownie w swym fotelu głęboko, uważając najwidoczniej, iż nakoniec nadeszła teraz pora na rozpoczęcie badania istotnego.

— Więc tedy, wdowo Szupe — rozpoczął — uporczywie twierdzisz, iż nie byłaś ani na chwilę przy ludziach, którzy zabawiali się w twym szynku?

— Ani jednego słowa nie słyszałam z ich rozmowy. Nie mam bowiem zwyczaju szpiegować swoich gości.

Sędzia śledczy z politowaniem wzruszył ramionami.

— Widzę — powiedział — iż trwasz niewzruszenie przy twym systemie milczenia, bo przecież tych twoich bajeczek o łataniu odzieży na górze, gdy miałaś nieznanych ci, jak powiadasz, gości na dole, nie można traktować poważnie. Wymyśliłaś je dość naiwnie w tym celu, ażeby mieć możność mówienia „nic nie widziałam, nic nie słyszałam, nic nie wiem." Ostrzegam cię, iż ten sposób obrony wyjść ci może bardzo na złe.

— To nie sposób, lecz szczera prawda.

Pan Segmuller zdawał się namyślać, a potem nagle zagadnął starą:

— Więc nie możesz mi nic powiedzieć o tym nikczemnym mordercy?

— Ależ on nie jest zbrodniarzem, mój dobry panie! Przecież ją zabił wprawdzie, lecz stając w obronie swego życia, miał więc do tego prawo. Przecież ich trzech napadło na niego, widział, iż nie znajdzie zmiłowania u tych apaszów, którzy...

W tem miejscu zacna „ciotka" urwała nagle, widocznie przestraszona i jakby czyniąc sobie wyrzuty, iż powiedziała zbyt wiele...

Mogła mieć wprawdzie nadzieję, iż sędzia nie zwrócił uwagi na jej zwrot nieszczęśliwy, wszelako...

W tej chwili wypadło jedno drewienko z ogniska na kominku i pan Segmuller zdawał się być zajęty tym jedynie, by je umieścić z powrotem na jego dawnem miejscu.

— Kto mnie zapewni — mówił do siebie w tym samym czasie jednak — kto mi zaręczy, iż to nie on zaatakował tamtych trzech?

— Ja — zawołała wdowa Szupe, która najwidoczniej szept ten dosłyszała — ja! I przysięgnę na to.

Pan Segmuller odwrócił się od paleniska, pozornie zdziwiony i zapytał z żywością:

— A skąd ty to wiedzieć możesz, na jakiej zasadzie przysięgać!?... Przecież ty siedziałaś na górze i nic nie widziałaś?!

Lekok, siedzący nieruchomie i cicho w swym kąciku, omdlewał z uciechy widząc, iż stara już na początku nieomal badania została przyłapana na kłamstwie. Była to zdobycz bardzo cenna, zwycięstwo doniosłego nader znaczenia, ponieważ ujawniało ono, iż pomiędzy „wspólnikiem", mordercą i szynkarką istniał jakiś kontakt, jakieś było porozumienie. Bez jakiejś wspólności interesów bowiem ta stara rajfurka i złodziejka nie wzięłaby przecież w tak gorącą obronę napewno i z pewnością człowieka, którego widziała po raz pierwszy w swem życiu.

— Może jednak urobiłaś sobie takie właśnie zdanie o mordercy, na tej zasadzie, iż poznałaś dawniej charakter mordercy?

— Nigdy go przedtem nie widziałam.

— A jednak on bywał dawniej w twym zakładzie.

— Nie.

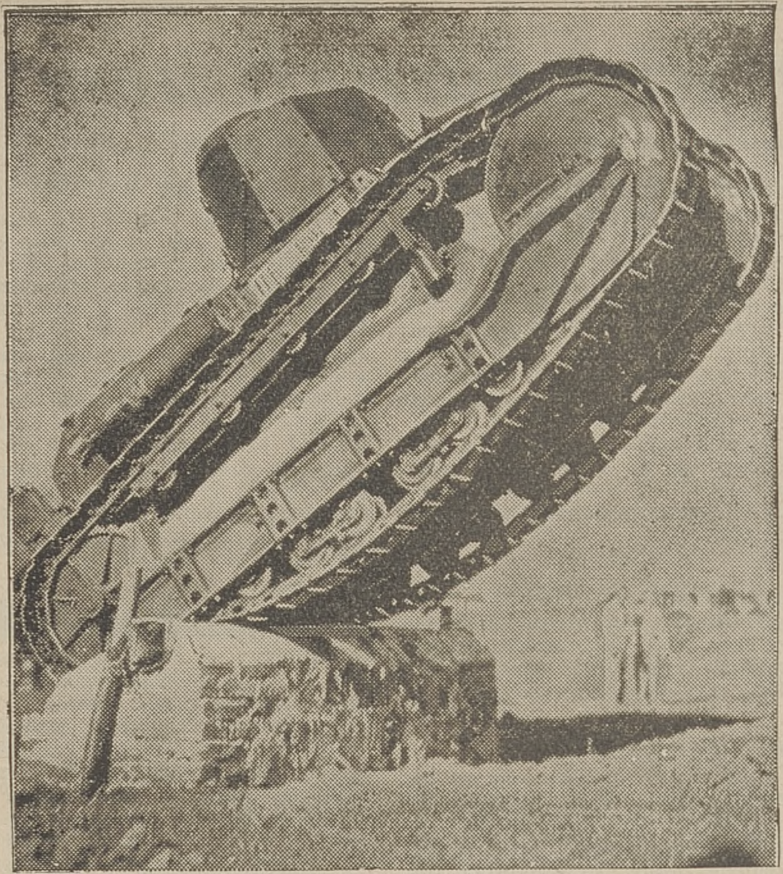
— Baj baju, kochana!... Jakżeż w takim razie wytłomaczysz to, iż wchodząc do szynkowni w chwili, gdy ty przebywać miałaś na górze, ów niby nieznajomy ci i zupełnie obcy człowiek zakrzyknął niemniej: „Hej, stara!" Czyż twierdzić byś chciała, iż morderca jest jasnowidzącym, wiedzącym, mimo oczywistej niewiedzy, iż zakład utrzymuje kobieta?

— On tego nie powiedział.

— Nie powiedział?... No, proszę! A przecież ty sama nam powiedziałaś, iż morderca temi właśnie zawezwał cię słowami.

— Nie mówiłam tego.

— Tak?... Panie sekretarzu, odczytaj proszę odnośny ustęp zeznań tej kobiety.



Pod Rzymem zorganizowano ostatnio wyścigi... tanków, które wykazać miały sprawność tej straszliwej broni, nie znającej przeszkód. Kierownicy tanków, które zyskały nagrodę sprawności, otrzymali tem samem awans na „tankmistrza“. Oto fragment z tych niezwykłych zawodów: czołg przechodzi przez jedną z przeszkód.

Dobrotliwie uśmiechnięty kancelista, jakby nigdy nic, najniewinniejszym tonem czytać zaczął:

„Siedziałam tak na górze dobre pół godziny, gdy nagle ktoś zawołał na mnie z dołu: „Hej, stara!“

— A widzisz... odezwał się sędzia.

Starej wiedźmie opadły w zniechęceniu ręce. Pan Segmuller nie kładł jednak większego nacisku, jakby uważał to za punkt bez znaczenia.

— A inni twoi goście, ci którzy wpierw przybyli, również nie byli ci znani?

— Nie, panie.

— Nawet owe kobiety?... Nawet ów niby żołnierz? Więc twierdzisz, iż nie znałaś nawet Gustawa?

— Nie, panie, nie znałam go.

Lecz to ostatnie zdanie powiedziała szynkarka dziwnie niepewnym głosem. Pan Segmuller tę zmianę tonacji głosu zauważył odrazu. Odezwał się wtedy bardzo wyraźnym głosem, wybijając oddzielnie każde powiedziane słowo:

— Nie słyszałaś może nawet o pewnym panu, który Lacheneur się nazywa?

Gdy nazwisko to padło niespodziewanie z ust sędziego, właścicielka szynkowni widocznie się zmieszała i wybełkotała głosem bardzo zmienionym:

— Lacheneur?... Lacheneur?... nigdy nie słyszałam nazwiska tego.

Przeczyła. Wrażenie jednak pozostało.

Ów Lacheneur był widocznie ważną postacią w tej sprawie i Lekok poprzysiągł sobie w duszy, iż owego Lacheneura odnaleźć musi. Przecież pomiędzy dowodami rzeczowymi był list tego człowieka, a list ten pisany był w jednej z kawiarń przy bulwarze Beaumarchais się znajdujących.

Mając takie wskazówki i wytrwałość — znajdzie go napewno.

— A teraz — prowadził dalej indagację p. Segmuller — przejdziemy do kobiet, które w ów wieczór w szynkowni twej się znalazły. Jakiego rodzaju były one?

— Oh!... takie sobie zwyczajne dziewczyny.

— Daj mi ich rysopis.

— Kiedy bo, wielmożny panie... zaledwie je widziałam. Były to dwie wysokie i tęgie dziewuchy, rozrosłe do tego stopnia, iż wzięłam je początkowo za mężczyzn w kobiece suknie, z racji zapust przebranych. Ręce miały jak łopaty, głosy ochrypłe, brunetki obydwie, o cerze bardzo ciemnej, co nawet moją specjalną zwróciło uwagę. Odziane były bardzo nędznie.

— Dosyć!... — przerwał opis ten sędzia, głosem bardzo podnieconym — oto mam teraz dowód niezbity twej złej woli. Kobiety te bowiem, obydwie, były średniego wzrostu drobne raczej, niż wysokie, a jedna z nich była przytem jasną blondynką o bardzo bujnych włosach.

— A jednak ja przysiądz mogę...

— Nie radziłbym ci robić tego, ponieważ w tym wypadku postawić bym mógł przed tobą człowieka, zasługującego na bezwzględne zaufanie, któryby ci powiedział, że kłamiesz.

Na to szynkarka nie odpowiedziała już nic. Pan Segmuller, widząc to, postanowił zadać jej cios ostateczny.

— Czy przeczyć zechcesz również, iż w kieszeniach twego fartucha nie było nic kompromitującego?

— Nic w nim być nie mogło! Można go przeszukać, pozostał bowiem u mnie.

Pewność ta stwierdziła, iż wspólnik poinformował ją o usunięciu kompromitującego dowodu.

Trwasz więc w uporze... Źle robisz, wierzaj mi — mówił sędzia — i radziłbym ci namyślić się. Zależnie od tego znajdziesz się w sądzie: jako wolny świadek, lub też jak współwinna, na ławie oskarżonych.

Aczkolwiek szynkarka była silnie przygnębiona świadomością, iż sędzia wie o tem, iż w jej fartuchu list kompromitujący się znajdował — milczeć nie przestała.

Pan Segmuller nie nalegał.

Odczytano jej protokuł, który podpisała, a następnie wyprowadzono ją z sali.

— Goget — powiedział wtedy sędzia — masz tutaj oto rozkaz, idź z nim do dyrektora więzienia, ażeby ten przysłał mi tutaj mordercę.

XVII.

Wydobyć zeznanie z kobiety, której zależy na tym, by milczała, a która wie przytem, iż żadnych dowodów przeciwko sobie nie ma — jest rzeczą bardzo trudną, niemożliwą nieomal.

Domagać się prawdy, w warunkach podobnych od mężczyzny — jest już marzeniem ściętej głowy zaprawdę.

To też pan Segmuller i Lekok, po wyprowadzeniu wdowy Szupę, spojrzeli na siebie wzrokiem nie najpromienniejszym.

— Ta szelma, niemniej, wie wszystko — mruknął Lekok.

— Tak — odpowiedział sędzia śledczy — z jej zeznań, aczkolwiek nic nie powiedziała ona, wyprowadzić można niezbity wniosek, iż zna ona i zabitych i mordercę, i obydwie kobiety — słowem wszystkich. Znała przedewszystkiem Gustawa, a zwłaszcza owego Lacheneura, który, twierdzić można z całą pewnością, trzyma w ręku klucz całej tajemnicy. Tego człowieka odnaleźćby należało przedewszystkiem.

— O, ja go znajdę — zawołał Lekok z taką bezmierną zaciętością, że aż sędzia spojrzał uważniej na niego — znajdę go, choćby mi przyszło śledzić za stoma tysiącami ludzi w Paryżu. Narazie jednak należałoby może z tej wiedźmy wydobyć zeznania.

— Ona nic nie powie — tonem głębokiego przekonania odpowiedział sędzia.

Młody policjant pochylił w milczeniu głowę. Takie było i jego zdanie. Nie łudził się, zwłaszcza iż pomiędzy ściągniętemi brwiami wdowy Szupe odnalazł zmarszczkę, znamionującą idjotyczną zaciętość zwierzęcia.

— Przy badaniach, kobiety milczą najczęściej — mówił sędzia — jeżeli zaś zaczynają zeznawać, to tylko z myślą wyprowadzenia w pole śledztwa. Argumenty niezbite — przygważdżają mężczyzn, kobiety śmieją się z faktów. Gdy im się przedłoży dowody jak najbardziej choćby oczywiste, mówią: „nieprawda“. „Golone“ — krzyczą oczywistymi fakty dowody rzeczowe; „strzyżone“ — przeczy kobieta.

(Ciąg dalszy, w następnym numerze).

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

Z GŁĘBI SERCA

Kochanym Sympatykom i Czytelnikom „Moich Powieści", którzy przesłali mi wzruszające dowody pamięci, w postaci licznych powinszowań imieninowych, składam jak najgorętsze, z głębi serca płynące podziękowanie.

BARDZO MNIE TO CIESZY

„Kruczowłosy Królewicz". Bardzo mnie to cieszy, że darzy mnie Pan takiem zaufaniem — postaram się go nigdy nie zawieść.

A teraz apeluję do „Rydza z polany Borów Tucholskich", by w wolnej chwili skreślił do „Kruczowłosego Królewicza" kilka słów.

NA DALSZĄ DROGĘ

„Mozaik" wycofuje się z „Krainy" i żegna wszystkich Sympatyków i Sympatyczki, gdyż opuszcza miejsce swego zamieszkania i wstępuje do zakonu.

„Wiernej Czytelniczce" przesyła życzenia zdrowia i szczęścia.

Dziękuję w imieniu wszystkich za pozdrowienia i życzenia, oraz przesyłam Panu na dalszą drogę życia: „Szczęść Boże".

KTÓRA?

„Śpiewający Błazen" pyta: „Która z pięknych brunetek o figlarnych, marzących oczach zechce nawiązać ze mną korespondencję? Mieszkam w okolicy pozbawionej odpowiedniego towarzystwa i czuję się bardzo osamotniony".

NA ŚMIERĆ MARSZAŁKA

Rozpacz wielka schyliła nam głowy,
Słońce w ciemne się skryło obłoki —
Gdy po całej Polsce — tak szerokiej,
Dzwonów serca jęknęły spiżowe...

Dzwonów serca jęknęły żałośnie —
Że największe z serc już bić przestało,
Że żałoba ziemniła Polskę całą,
W dzień pochmurny, majowy — o wiośnie...

Że zawarły się oczy na zawsze —
I buława hetmańska śpi w dłoni,
Las sztandarów przed trumną się kłoni,
A łzy płyną najcięższe, najkrwawsze...

Tyle razy te oczy surowe,
Groźnej śmierci widziały źrenice —
Gdy się szabel skrzyły błyskawice
Nad wyniosłą, dumną Wodza głową...

A dziś dzwony tak biją rozgłośnie,
Bo nie żyje ten — co serc miljony
Żyć nauczył wolnością, radośnie,
Wódz największy, Wódz nieoceniony!

Teresa Kostrzewska-Przanowska.

DLA KAŻDEGO

„Szatyn 22" i „Blondyn 25". Obawy Panów były niepotrzebne. Kącik w „Krainie" dla każdego się znajdzie. Jestem również przekonana, że otrzymają Panowie upragnione liściki, gdy Czytelniczki dowiedzą się, że:

„Szatyn 22" posiada czarujące, niebieskie oczy, lubi taniec, muzykę, wycieczki i sport.

„Blondyn 25" zaś oczy niebieskie, średnie wykształcenie, lubi wszystko co piękne, a szczególnie towarzystwo młodych Pań.

O WSZYSTKIEM

„Hajduczek." List wysłałam. Napewno „Hajduczek" zdążył już otrzymać odpowiedź?

Proszę znowu kiedyś do mnie napisać, dobrze? O wszystkiem, czy korespondencja się pomyślnie rozwija, czy jeszcze zdarzają się smutne chwilki, czy wiosna sprawia dużo radości, no, jednem słowem o wszystkiem.

CORAZ WIĘCEJ

„Iksunia z Grudziądza." „Moje Powieści" zyskują sobie coraz więcej popularności. Już niema prawie w Polsce poczty, gdzieby nie dotarły. Przywiązanie Pani do nich bardzo mnie ujęło.

Strasznie ciekawi mnie również ten Pani wierszyk. Proszę go ułożyć i przysłać, a nie chować w pamięci, bo może naprawdę ulecieć z niej.

MIŁOŚNICZKA POLOWAŃ

„Goryl z Tucholi". Wujek Janusz był bardzo zadowolony z dobrych chęci Pani Ojczulka i dziękuje za zaproszenie go na letnie wakacje. Jednakże napewno znalazłyby się u Wuj. Janusza jakieś przeszkody lub inne plany nie pozwoliłyby mu skorzystać z gościnności pięknego zapewnie dworku Pani Ojca. Wujek Janusz dziękuje więc serdecznie za zaproszenie i życzy Pani powodzenia na polowaniach, które sam również bardzo lubi.

Sądzę, że zapaleni myśliwi i miłośnicy długich wycieczek napiszą do Pani, zresztą przekonamy się o tem wkrótce. Proszę na zakończenie o nadesłanie dokładnego adresu i przesyłam Pani dużo uścisków.

UJĘŁA MNIE GŁĘBOKO

„Mała Konwalijka." Najdroższa! stokrotne dzięki za prześliczne róże. Wzruszająca pamięć „Małej Konwalijki" ujęła mnie głęboko. Na liścik odpowiem w następnym numerze.

POZDROWIENIA

„Iste — Wenus" bardzo lubi koncerty na bałabajkach i rosyjskie dumki. Przesyła wszystkim Sympatykom i Sympatyczkom „Krainy Szczerości" miłe pozdrowienia i osobne dla „Białej Uajali", „Maleńkiej Dżeni" i „Rodowitej Kaszubki," gdyż zna doskonale Jej wioskę, a Jarosz Derdowski, poeta kaszubski, który się w niej urodził, jest dalekim krewnym Matki „Iste —Wenus".

Wierszyk p. t.: „Bałabajka" umieściliśmy.

RADZĘ PANI SAMEJ...

„Szczera Ślązaczka". Dziękuję Pani za wyjaśnienie w sprawie przesłania adresu. W związku zaś z nawiązaniem korespondencji radzę Pani samej napisać do kogoś liścik. Wybór w „Krainie" przecież tak wielki, tyle „siostrzyczek" i sympatycznych Panów czeka z utęsknieniem na liściki. Ciekawa jestem, czy przyjmie Pani moją propozycję życzliwie?

ADRESY!

O adresy, celem odebrania listów są proszeni: „Samotna Konwalja"; „Samotny Leś"; „Milutka Janeczka"; „Turkusik"; „Spartanin"; „Muzykalna Szatynka"; „Robinson"; „Wesoły Łobuz"; „Janek z pod Buku"; „Serdeńko z pod Leszna"; „Samarytanka"; „Pomorzanka z Borów Tucholskich"; „Bławatek z pod Śremu", „Zygmunt Orda"; „Melutka"; „Laleczka"; „Stella Maris"; „Anitra"; „Nieznany"; „Lena"; „Podoficer"; „Urwis".

KTO NAPISZE?

„Pomorzanka z pod Lubawy". „Kto chciałby z sympatycznych Czytelników napisać do mnie i nawiązać szczerą korespondencję?" — pisze „Pomorzanka z pod Lubawy".

„Kto" zobaczymy, ale napewno ktoś. Za pozdrowienia dziękuję w imieniu Wujka Janusza i swojem i przesyłam załączone przez Panią pozdrowienia dla „Strażnika granicznego z pod Chodzieży" i „Fali Noteci".

WYSŁAŁAM

„Rusałka". List zaadresowałam i wysłałam. Pozdrowienia przeznaczone dla „Smutnego Urwisa" chętnie przekazuję.

APEL Z POLESIA

„Wilk z Polesia". Przesyłam Panu w dalekie strony miłe pozdrowienia i życzenie pomyślności w nawiązaniu korespondencji. Apel Pana, który daję do druku jest tak wymowny w swej prostocie, że zapewnie dużo liścików popłynie na Polesie:

„Wszyscy mówią, że jestem przystojnym i sympatycznym. Od siebie dodam — umiem poważnie myśleć. Ale cóż z tego? Żyję na Polesiu, gdzie tylko niebo, lasy, bagna i stada wilków. Może która z Sympatyczek zechce urozmaicić tę moją monotonję miłym liścikiem? Napewno z odpowiedzią nie pozostanę dłużnym".

TRZEBA BYĆ SILNYM

„Tur". Drogi Panie! Niepowodzenia, jakie Pana spotkały nie są pierwsze zapewnie, ani ostatnie. Życie zwykle krzyżuje ludzkie plany i nadaje im często niespodziewany kierunek, jednak nie trzeba z tego robić... tragedji. Trzeba być silnym i odważnym w wszelkich przeciwnościach, jak przystało na mężczyznę i w dodatku lotnika. (Zapewnie tak, skoro mowa w liście o odlocie samolotem do Lwowa?).

Pozdrowienia dla „Białej Uajali", „Pięknej Cyganki" i „Marzycielki z Bydgoszczy" chętnie przesyłam. Czy która z wymienionych Pań zechce skreślić kilka słów do „Tura"? A może Sympatycy z okolic Jastkowa koło Lublina, Nałęczowa na Puławach, miast Lublina i Gdyni odezwą się do Niego?

WIERSZE — SŁABE

„Laluś z nad Granicy". A więc już wszystko w porządku? — Pan zdrowy, i koń się znalazł inny w miejsce zranionego. Bardzo mnie to cieszy! Korespondencja również trwa zapewnie? O tem się dowiem wkrótce, prawda?

Przesłane wierszyki są bardzo słabiutkie. Może Pan spróbuje napisać jeszcze raz?

Kończąc odpowiedź przesyłam Panu moc miłych i serdecznych pozdrowień.

Z MIŁĄ CHĘCIĄ

„Smutne Oczy." Jestem bardzo zadowolona, że nie jest Pani rozczarowana nawiązaną korespondencją — szczerze życzę dalszego powodzenia.

Pozdrowienia dla „Ady z Jeżowa" i „Felka z pod Ostrowa" przekazuję z miłą chęcią.

CZY TAK?

„Hania" skarży się w swoim liściku na brak rozrywek i żadnej pogody. Czy aż tak źle jest, Kochana „Haniu"? Myślę, że korespondencja, z której jesteś tak zadowolona, urozmaica Ci czas? Zresztą do tej pory sytuacja zapewnie się zmieniła u „Hani". Wiosna, przechadzki, piękne wieczorne nabożeństwa w kościele, już przecież dużo znaczą. Spodziewam się więc, że w niedługim czasie otrzymam wesoły liścik od „Hani." Czy tak?



Jeden z nowych Sympatyków „Moich Powieści" przesyła „rodzinnemu gronu „Krainy" serdeczne pozdrowienia.

Na „Dzień Matki"

MATUŚ!...

Matuś! Dobrocią swoją stale mnie obdarzasz,
Smutku chmury cierpliwie usuwając z czoła,
Czem ja Ci się odwdźięczę za to, czem obdarzę?
— Miłości mej do Ciebie wyrazić nie zdołam!

Największym skarbem jesteś mi na świecie, Mamo,
I najwierniejszym poprzez życie przyjacielem,
Życie Twe jest ofiarą jedną nieprzerwaną,
Nigdy dla mnie wyrzeczeń nie jest Ci za wiele...

Myśl Twa czuwa nademną, Matuś, nieprzerwanie.
— Nocą czy świtem, dobre matczyne uśmiechy
Strzegą mych dróg tak wiernie, ze nic się nie stanie,
Że nie skalają duszy mej podłości grzechy.

Za Twoją dobroć, za trud, za nieprzerwaną pracę —
Za najgłębsze — wprost z serca — ofiarne kochanie,
Czem ja Ci się, Matuchno, odwdzięczę, odpłacę?
Twych zasług żadne słowo oddać nie jest w stanie...

Danuta Wyrybkowska.

„CHCIAŁABYM"

„Ptaszyna." Protekcją służę jak najchętniej i podaję krótki apel Pani, prosząc równocześnie o podanie adresu:

„Chciałabym nawiązać miłą i rzeczową korespondencję z jakimś Sympatykiem „Krainy." Jestem 22-letnią blondynką, podobno ładną, o dużych, niebieskich oczach. Mieszkam na wsi. Odpowiem na każdy list, gdyż pisanie jest moją słabością."

PRZECZYTAMY GO WSZYSCY

„Samotna Gwiazdeczka." Część liściku Pani, który złożony jest z bardzo ładnych myśli, oddaję do druku: „Droga Pani Zosieńko! Bardzo się cieszę, że należę do Twej Rodzinki. Tam taka szczerość i harmonja. Zdaje mi się, że stanęłam na progu innego życia, doskonalszego. Nasuwa mi się właśnie zdanie wypowiedziane przez A. Mickiewicza „Człowiek nie jest stworzony na łzy i uśmiechy, ale dla dobra swoich bliźnich, ludzi." Jestem przekonaną, że i Pani tą dewizą w życiu się kieruje. W niejedno serce zbolałe, zatrute jadem nienawiści, fałszu, wlała Pani otuchę, a myśl skierowała ku górze, ku Bogu. Tam tylko powinniśmy szukać pociechy i siły do walki z życiem. Nie gonić za urojonem szczęściem, nie szukać całego i pełnego szczęścia — na ziemi go nie znajdziemy. Tu jest tylko obowiązek do spełnienia. Ludzi zawsze należy sądzić według siebie. Patrzeć na ich wady z wyrozumiałością i nie żądać wiele od życia. Unikniemy wtedy zachodów, niepowodzeń — będzie nam lepiej..."

Tak pisze „Samotna Gwiazdeczka." Czy ma rację? — niewątpliwie tak.

Na dłuższy i weselszy list cieszę się bardzo. Jeżeli będzie tak poważnie nastawiony, jak ostatni, przeczytamy go z miłą chęcią znowu wszyscy.

Z NADZIEJĄ

„Fakir." Pseudonim dobry. Cieszyłabym się prawdziwie, gdyby mu Pan dochował wierności. Ocenę wierszy wydał już Wujek Janusz w nr. 16. Jeżeli zaś chodzi o nowelki, nie możemy Panu podać terminu ich wydrukowania — zamieścimy je, gdy będzie okazja i miejsce.

Należność za prenumeratę „Mojej Przyjaciółki" może Pan załączyć śmiało w znaczkach.

A teraz wiadomości dla „Śnieżki" i „Amerykanki II": „Fakir" przesyła Paniom pozdrowienia i prosi o skreślenie do niego liścików, z nadzieją, że prośba ta nie będzie daremną.

CHYBA NIE POZWOLI?

„Ślicznotka" pomimo urody i sympatji, jaka ją wokół otacza, czuje się osamotniona. Chcąc sobie urozmaicić monotonję życia, pragnie nawiązać korespondencję z „Salusem." Chyba p. „Salus" nie pozwoli długo czekać „Ślicznotce" na list?

CZY SPEŁNIŁ MARZENIA?

„Gwiazda Rodziny." List wysłałam Pani, nie wiem tylko, czy przyniósł zadowolenie i spełnił marzenia. W następnym liście, który się spodziewam otrzymać już wkrótce, dowiem się chyba o tem coś, prawda?

ZACIEKAWI WSZYSTKICH

„Poznanianka." Dziękuję Pani za serdeczne słowa. List oddaję cały do druku, gdyż zaciekawi on niewątpliwie wszystkich Czytelników.

„Łaskawa Pani! Będąc kiedyś na wakacjach, w ustroniu wiejskiem, poprostu dla zabicia czasu przypadkowo wzięłam do ręki gazetkę „Moje Powieści", i nie wiedziałam, że się niemi aż tak bardzo zainteresuję. Postanowiłam sobie, jak tylko ukończę studja i się usamodzielnię, zaabonować natychmiast „Moje Powieści" i wejść w kontakt z miłemi czytelniczkami i czytelnikami w „Krainie szczerości i naszych trosk" a także wkraść się w zaufanie p. Zofji. Stało się. Po ukończeniu studyj i dwuletniej praktyki, objęłam od dwóch miesięcy posadę państwową, co oczywiście pociągnęło za sobą natychmiastowe zaabonowanie „Moich Powieści". Rozczytywuję się w nich z największą przyjemnością i są one poniekąd jedyną moją rozrywką. Niestety — znalazłam się w zupełnie mi obcem mieście i otoczeniu i z tego powodu trawi mnie samotność i tęsknota. Tęsknię bardzo do rodzinnych stron. — Chętnie zamieniłabym kilka słów drogą korespondencji. Mam lat 22 — jestem Poznanianką. Lubię ludzi zrównoważonych, o wysokiej kulturze duchowej i o prawym charakterze. Interesuję się literaturą i muzyką. O ile znalazł by się ktoś, kto chciałby moją samotność urozmaicić, proszę o skierowanie listu do redakcji „Moich Powieści" dla „Poznanianki — 22."

MY

Nie mamy w sobie tytanów mocy,
Nie mamy ramion o sile stali,
Ciało się nasze łamie w niemocy
Ducha — a wola, przepadła w dali.

Dłonie oddawna jakby spętane,
Okowów silnych zerwać nie mogą —
Myśli przerwane, to znów splątane
Same przed sobą znikają z trwogą

Czemuż my słabi? — Gdzie nasze moce?
— Pytamy siebie rozgoryczeni,
Pytamy siebie w bezsenne noce,
Gdy się coś w duszy buntuje, pieni.

Ot — i szukamy przyczyn dokoła
Oczyma ślepców, oczyma ciała,
A nie słyszymy, że nas coś woła,
Że prawda jasna staje przed nami,
Jak słońce jasna, jako śnieg biała:

„Jesteście słabi — lecz z własnej winy,
Jesteście mali — i to was boli,
Lecz nie umiecie szukać przyczyny
W sobie — i mocy w swej silnej woli."

Maryla Wawrzyńczakówna.

SKORO SIĘ DOWIE

„Hrabia Monte Christo." Czy Pan może będzie znowu kiedyś w Żninie? Jeżeli tak, proszę, niech Pan śmiało wstąpi do naszej redakcji. Wizyta Sympatyka „Moich Powieści" sprawi nam prawdziwe zadowolenie. Cukierenka, o której Pan pisze, istnieje nadal na tem samem miejscu, jak zwykle gościnna.

Sądzę, że „Mercedes" napisze do Pana, skoro się dowie, że w „Krainie" istnieje „Hrabia Monte Christo" i w dodatku zainteresowany „Mercedes."

PODZIĘKOWANIE

„Bazgracz" przesyła serdeczne podziękowanie „Warszawiance" za miłe słowa i pozdrowienia.

DZIĘKUJĘ SERDECZNIE

„Architekt z pod Wagram." Dziękuję serdecznie za pozdrowienia i następnie, przyjmując Pana do „Krainy" przedstawiam wszystkim Sympatykom:

Po stracie ukochanej narzeczonej „Architekt z pod Wagram" chce ukoić swój żal przez nawiązanie korespondencji z Czytelnikami „Moich Powieści".

„Mam lat 28 — pisze o sobie — jestem średniego wzrostu, ciemnoblondynem, z zawodu budowniczy-architekt, (obecnie na posadzie państwowej), wielkim nieprzyjacielem tańca, za to miłośnikiem kwiatów, muzyki, śpiewu i ciszy."

A teraz kilka słów w sprawie przesłanych wierszy: oprócz „Rozjaśnij czoło", poświęconemu „Złotemu Promykowi, pójdą dwa inne do druku.

ZOSTAŁ WYSŁANY

„Wydra." List, o który się Pan pyta, został wysłany, chociaż nieco późno, gdyż adresatka ociągała się z przesłaniem dokładnego adresu. Do tej pory jednak, mam wrażenie, zdążył Pan otrzymać odpowiedź, nietylko raz, ale kilka nawet.

Teczka Wujka Janusza

DESZCZ KWIATÓW

Tak bezszelestnie biały deszcz pada,
Deszcz niecodzienny —
To kwiat przekwitły z drzewa opada,
W dzionek wiosenny.
W ciszę wsłuchana stoję pod drzewem
I wzrokiem gonię
Te białe płatki, co z wiatru wiewem
Lecą na dłonie.
Lecą na dłonie, głowę, ramiona,
Jak ptaszki małe,
Bo już ich rola w życiu spełniona
Na Bożą chwałę.
Tak bezszelestnie deszcz kwiatów pada,
Deszcz pośród słońca,
Lecą i lecą płatki łabędzie —
Lecą bez końca.........

„Dzinka."

PROSTE I BEZPRETENSJONALNE

„Dzinka." „Nie pogniewam się na Ciebie, Wujku, jeśli od czasu do czasu poślesz do kosza, któryś z moich wierszy, bo przecież lepiej leżeć w koszu, niż ośmieszyć się, prawda?" — pisze w swym liście „Dzinka."

Najsłuszniejsza prawda! Jednakże wierszy „Dzinki" ten smutny koniec nie spotka, gdyż są one ładne, przytem takie proste i bezpretensjonalne.

Z nadzieją, że „Dzinka" częściej się do mnie odezwie, przesyłam Jej dużo wyrazów serdeczności.

BAJKA

Ja już nie marzę o szczęściu w mem życiu,
Bo szczęście dla mnie nigdy nie dojrzewa,
W mem sercu gorycz swe ziarna zasiewa —
Znacząc swój zasiew na moim obliczu.
Nad mą przeszłością bieleją wkrąg groby,
Gdzie pogrzebałem me wszystkie nadzieje,
A dzwony biją na znak wielkiej żałoby
I dźwięczą smutne: szczęście nie istnieje.
Szczęście jest tylko barwną mozajką,
Tęczą grającą nikłemi tonami,
Szczęście jest cieniem w życiu człowieka,
Szczęście jest bajką!

„Ka-En."

DUŻO EGZALTACJI

„Hord." W niektórych wierszach Pana przebija wielka egzaltacja. Proszę, niech Pan się jej wystrzega, gdyż wszelka przesada nie mile brzmi w poezji. Do druku pójdą następujące utwory: „Nocka" i „W dal."

Kończąc proszę o dalszą pamięć, oraz łączę miłe pozdrowienia.

BRAK RYTMU

„Smutna Luteczka z Bydgoszczy." Wierszyk Pani posiada bardzo ładne myśli. Gdyby był w nim prawidłowy rytm umieściłbym go jak najchętniej. Może jednak Pani spróbuje jeszcze raz coś napisać, licząc sylaby, bodaj na palcach. Zgoda?

Z PRZESŁANYCH WIERSZY

„Ka-En." Z przesłanych wierszy pójdą do druku: „Tęsknota", „Gdybym mógł" i „Bajka" — reszta do kosza. Przesyłam Panu serdeczny uścisk dłoni.

Raj kobiet

O cześć dla kobiety -- matki w społeczeństwie

Doroczny „Dzień Matki" w Polsce



Nie ulega wątpliwości, że pojęcie matki — rodzicielki tkwi najgłębiej w sercu każdego człowieka. Matka, to przecież ta jedyna istota, która nas już kochała, zanim zbudziliśmy się do życia, która z utęsknieniem oczekiwała naszego pojawienia się na świat i darzyła nas najtroskliwszą opieką w pierwszym okresie życia.

Nie kto inny, tylko matka stwarza dzieciom swoim tę żywą legendę Anioła-Stróża na ziemi, a przedewszystkiem wypełnia w społeczeństwie niesłychanie doniosłe zadanie. Na słabych barkach matki spoczywa przecież ta wielka odpowiedzialność za zdrowie moralne i fizyczne wstępujących w życie pokoleń. I za ten bezmiar trosk, za to olbrzymie poświęcenie matka otrzymuje w najlepszym razie tylko miłość swych dzieci, rzadziej już ich wdzięczność, a prawie nigdy tego powszechnego uznania, jakie kobiecie-matce słusznie się należy od wszystkich.

Wychodząc więc z założenia, że tylko akt publiczny hołdu, złożonego kobiecie, jako matce przez ogół społeczeństwa, może być bodaj słabym sposobem spłacenia tego długu, jaki społeczeństwo zaciąga nieustannie u kobiety — idealiści Ameryki północnej jeszcze w r. 1910 powzięli wielką ideę święcenia „Dnia Matki." Idea ta okazała tak olbrzymią żywotność, że już w roku 1914 został ów „Dzień Matki" pod naciskiem opinji publicznej, podniesiony orędziem prezydenta Wilsona do godności niemal święta ogólno-państwowego.

Także i w Polsce obchodzi się w ostatnią niedzielę maja „Dzień Matki," zorganizowany od szeregu lat przez młodzież Polskiego Czerwonego Krzyża. Idea „Dnia Matki", mająca na celu rozwinięcie uczuć miłości i wdzięczności dziecka do matki, oraz wykazanie jej poświęcenia, zawierająca pozatem ważne z punktu widzenia społeczno-wychowawczego pierwiastki, znajduje wśród naszej młodzieży coraz większe zrozumienie i zainteresowanie.

Ostrożnie z jajami kaczemi

Niemieckie pisma weterynaryjne podają ostrzeżenie kilku profesorów uniwersyteckich przed spożywaniem surowych lub niedostatecznie ugotowanych jaj kaczych. Na podstawie badań, przeprowadzonych w 34 fermach kaczych, stwierdzono niezbicie, że jaja kacze zawierają bakcyla paratyfusowego i stanowią tem samem bardzo poważne niebezpieczeństwo dla zdrowia ludzkiego. Dalsze badania mają wykazać, jakie rasy są szczególnie podatne dla tej choroby i jakie są rozmiary jej rozprzestrzenienia.

Czy mężczyzna sie przyzna...

...Że już otrzymał kosza?

...Że jest za stary, by tańczyć?

...Że zazdrości powodzenia innemu?

...Że po nim odziedziczyły dzieci wady, a zalety po żonie?

...Że znajduje piękność i wdzięk w kobiecie, która mu odmówiła tańca?

...Że zasługą krawca jest dobrze leżące ubranie?

...Że żona pracująca w jednym zawodzie jest zdolniejszą?

...Że czasami swe listy miłosne odczytuje serdecznym przyjaciołom?

Ile jest warta żona?

W miejscowości Naumburg w Niemczech toczył się ciekawy proces, który miał ustalić, ile jest warta żona. Małżonka pewnego rzeźnika została zabita przez samochód, a mąż wystąpił z pretensjami do nieostrożnego automobilisty o stałe odszkodowanie. Twierdził on, że automobilista powinien mu płacić dożywocie, któreby rekompensowało stratę żony. Określił to na sumę 150 marek niemieckich miesięcznie.

Na rozprawie sądowej mąż argumentował, że obecnie musi płacić służącą, która spełnia te obowiązki gospodarskie, jakie dawniej spełniała żona. Na skutek tego jego wydatki wzrosły. Po długich debatach sąd uznał słuszność stanowiska rzeźnika i skazał automobilistę na płacenie stałej kary.

ŚWIAT I ŻYCIE

Miasto ognistych tańców i sentymentalnych pieśni

Stare przysłowie hiszpańskie mówi: „kto nie widział Sewilli — ten nie wie co piękne". Niestety bowiem dla cudzoziemców jest to bajecznie kolorowe miasto czemś jedynem w swoim rodzaju. Hiszpanie również uważają je — obok Grenady — za najcenniejszy pod względem artystycznym klejnot pośród wszystkich miast swoich.

Sewilla ma opinję bardzo wesołego miasta. Opinja zupełnie fałszywa! Pomimo południowej żywości i temperamentu, mieszkańcy jej są raczej melancholijni, nie mają w sobie nic z niefrasobliwego humoru Włochów, Francuzów z południa, czy swoich najbliższych sąsiadów — Katalończyków; ich ożywienie to nie wesołość, lecz namiętna bujność i pasja, odziedziczona jeszcze po Arabach, i — dalej nawet wstecz dziejów sięgającą — pochodząca jeszcze z tych czasów, kiedy w epoce Djoklecjana nazywano Sewillę miastem Wenery.

Dziwnie się tam potem gmatwała historja, dziwnie splatały się rasy — religje i obyczaje.

Zwycięsko lśnił półksiężyc na szczycie minaretów — i stokroć bardziej zwycięsko zabłysły na kościelnych wieżach krzyże. Nigdzie chyba, w każdym mieście ani kraju katolicyzm nie wrósł tak głęboko w dusze narodu, nigdzie też pewno i zewnętrzne cechy kultu nie są tak pilnie i tak naiwnie do dziś dnia obserwowane.

Sewilla jest „miastem kultu Madonny" „la tierra de Maria Santissima", nazywają jej okolice Hiszpanie.

Obecne prądy rewolucyjne i antyklerykalne w niczem tego nie zmieniły. Nietylko w każde święto Matki Boskiej, lecz z okazji wszystkich świąt wogóle, wyruszają tam niezliczone procesje, nieraz ze sobą rywalizując, nieraz nawet zwalczając się wzajemnie.

Bo każda parafja czci swoją „własną" Madonnę, tak, jak w miasteczkach Włoch południowych ludność czci swego własnego świętego.

Sewillskie śpiewy i tańce sławne są w całej Europie. Tańce niesłychanie namiętne, pełne uwodzicielskiego czaru i żaru, chociaż stare ich orjentalne motywy zostały znacznie opanowane i złagodzone przez okres katolickiej surowości obyczajów.

Pieśni zato są — przedewszystkiem — tęskne, sentymentalne i smutne. Słychać w nich echa dawnej poezji trubadurów; — nie wszystkie mają swe ustalone teksty i melodje; wiele z nich to improwizacje oparte na tradycyjnych motywach, z akompanjamentem delikatnych tonów gitary.

Dziwnie pesymistyczne, dziwne, posępne, czasem są te pieśni, zwłaszcza w zestawieniu z roześmianą gamą barw lśniących w promieniach słońca i z pogodnym lazurem nieba.

Ich treść — to zawsze i nieodmiennie: rozczarowanie i smutek miłości, śmierć i nietrwałość wszystkiego na tym świecie.

Co słychać w polityce?

Śmiertelne szczątki Marszałka Piłsudskiego spoczęły na Wawelu, w krypcie św. Leonarda. Prastara ta krypta gości siedem trumien: króla Władysława IV, jego pierwszej żony, Cecylji Renaty, Jana Sobieskiego i królowej Marysieńki, króla Michała Korybutta Wiśniowieckiego, księcia Józefa Poniatowskiego oraz Tadeusza Kościuszki.

Korzystając z rozprawy Stanisława Windakiewicza p. t. „Dzieje Wawelu", podajemy opis pogrzebów dwu sąsiadów snu wieczystego, Marszałka Piłsudskiego, dwu bohaterów narodowych, ks. Józefa Poniatowskiego i Kościuszki. Odtąd już do krypty św. Leonarda nikt z umarłych wodzów nie schodził, bo Polska już wodzów nie miała. Aż dopiero w roku 1935, w miesiącu maju...

Maleńka Rzeczypospolita Krakowska urządziła oba pogrzeby. Urządzała je skromnie, bez królewskiego przepychu... bo już królewskiego majestatu zbrakło. Były one zato rzewniejsze, wymowniejsze, były przecież uznaniem bohaterów za przewodników narodu, królom równym.

Dnia 22 lipca 1817 roku wieczorem o godzinie 8-mej przeprowadzono trumnę bohatera z pod Lipska, księcia Józefa Poniatowskiego, przewiezioną z Warszawy, z miejsca chwilowego spoczynku w kościele św. Krzyża.

Pochód prowadziła żandarmerja konna. U rogatki sześciokonny wóz żałobny z miedzianą trumną bohatera otoczył oddział milicji pieszej i odezwały się dzwony w całem mieście. Żandarmerja konna otwierała i zamykała pochód. Przed bramą Florjańską oczekiwało go duchowieństwo i cechy z chorągwiami. Przed wozem weterani nieśli odznaki wodza. Za wozem postępował komisarz pełnomocny i komisarze demarkacyjni ze strony nowej Polski Kongresowej. Przy kościele Panny Marji młodzież złączyła się z pochodem. Tu także objął honor dalszego prowadzenia konduktu proboszcz marjacki i prowadził go do kościoła św. Piotra, gdzie czekał Jan Woronicz, nowy biskup krakowski, z kapitułą, aby ciało odprowadzić do katedry. Chwila zmiany celebransów przed kościołem św. Piotra uczyniła na współczesnych wielkie wrażenie.

Placyk dość obszerny, noc cicha, bicie dzwonów i huk armat, ulica zalana ludem pełno świec i widzów w oknach, na dachach i na stokach Wawelu — wszystko to ułożyło się w malowniczy obraz nastroju.

Na zamku był zgromadzony senat wolnego miasta, władze i akademja. Trumnę z karawanu zdjęli oficerowie najwyższych stopni i zanieśli do katedry. Katafalk z dział i piramid ręcznej broni był rzęsiście oświetlony.

Nazajutrz 23 lipca odbyło się złożenie trumny do grobów. Milicja uszykowana zajęła katedrę. Grenadjerzy i wyżsi oficerowie stanęli przy katafalku. O godz. 10-ej rano biskup Jan Woronicz, który niedawno przemawiał na pogrzebie pogrzebie ks. Józefa w Warszawie, a następnie został biskupem krakowskim, odprawił mszę żałobną. Proboszcz marjacki i jeden z senatorów wygłosili mowy. Poczem oficerowie zanieśli trumnę przed kryptę, gdzie już król Jan III-ci był pochowany.

W rok niecały odbył się drugi pogrzeb na Wawelu, jeszcze więcej kochanego bohatera narodowego, Tadeusza Kościuszki., Również o godzinie 8-mej wieczór wyruszył 22 czerwca 1818 roku pochód z kościoła św. Florjana, gdzie ciało Kościuszki już od przeszło dwu miesięcy spoczywało.

Pogrzeb ten był bardzo podobny do poprzedniego. Udział w nim przyjął znów oddział żandarmerji, młodzież szkolna, cechy z chorągwiami i duchowieństwo, prowadzone przez proboszcza marjackiego. Wóz żałobny, sześciokonny, był otoczony milicją pieszą. Za nim postępowały władze Rzeczypospolitej, akademja, publiczność, w końcu — znów oddział żandarmerji. Pochód postępował wśród bicia dzwonów. Przed kościołem św. Piotra zatrzymał się, podobnie jak pogrzeb ks. Józefa, i biskup z kapitułą przyjął zwłoki i odprowadził do katedry. Złożono je na katafalku szczególnie okazałym, w stylu empire. Był w kształcie piedestału z kolumny Trajana w Rzymie, ozdobionego trzema obrazami, przypominającemi dzieje bohatera. Na wierzchu tego piedestału umieszczono sześć białych orłów, a wśród nich tarczę z herbem Kościuszki. Po bokach stały cztery kolumny złożone z broni i kos. Trumnę umieszczono pod orłami, na czterech działach.

Złożenie ciała do grobu odbyło się nazajutrz 23 czerwca 1818 r., O godzinie 10-ej rano prezes senatu z odpowiednią przemową złożył wieniec na trumnie. Biskup Woronicz odprawił mszę św.. Nastąpiła znów mowa proboszcza marjackiego. Poczem odprawiono castrum doloris, zdjęto trumnę, i przed spuszczeniem jej do krypty św. Leonarda, ks. Woronicz jeszcze raz przemówił, chwaląc cnoty, a przedewszystkiem skromność Kościuszki.

Oto historja pogrzebów — sąsiadów w śnie wieczystym Marszałka Piłsudskiego.

I jako drugi kontrast z tym światem — rojna i gwarna sewillska ulica. Kto jej nie widział, nigdy sobie jej nie wyobrazi.

Oto taka np. Calle de Serpes, główna arterja Sewilli. Niema na niej wcale ruchu kołowego! Niema — bo by wcale tamtędy nie można było przejechać! Nie udaje się nawet tamtędy przejść w szybkiem tempie..

Jakże wyminąć te — wszędzie porozstawiane stoliki, przy których kruczowłose o ognistych, palących, południowych oczach piękności piją czekoladę, ich zaś — również ogniści towarzysze wermuth?

Jakżeż przecisnąć się pomiędzy tym tłumem spacerujących, flirtujących, omawiających interesy — pomiędzy dziesiątkami przekupniów, którzy cię co krok zaczepiają, proponując wszelakiego rodzaju towary, począwszy od losów loteryjnych, kończąc na wszystkich częściach garderoby?

I — przedewszystkiem — jak wykręcić się, jak się wyrwać tym niezliczonym żebrakom tak niesłychanie natrętnym, choć w tak nikły sposób?

Tak jest „na codzień". Cóż dopiero dzieje się w święta. Ulica sewillska zmienia się wówczas w istny plac odpustowy. Mieni się kolorami barwnych strojów, rozbrzmiewa różnoraką muzyką gitar i mandolin i pachnie, pachnie kwitnącemi kwiatami i drzewami i sprzedawanemi przez przekupniów najprzeróżniejszemi smakołykami umieszczonemi na małych kramikach.

CHWILA ZASTANOWIENIA

REBUS



BILETY WIZYTOWE

DR. K. TUKONO	FELA T. TREGISKA

Odgadnąć zawód właścicieli biletów.

Za rozwiązanie powyższych zadań Redakcja wyznacza nagrodę w postaci książki. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 31 maja b. r.

Rozwiązanie zadań z nr. 18 „Moich Powieści": *Rebus* — Człowiek przez osiągnięcie ideału wyrósł ponad niego. *Rebus-szarada:* — woda.

Trafne rozwiązania nadesłali: „Aleksiej", Jan Raczkowski, Dąbrowa Górnicza — Seweryn Wilgocki, Grabów — Anatolja Bączkówna, Kraków — W. Karzelski, Warszawa — Anna Warska, Pińsk — Irena Ruskówna, Nieśwież — Roman Konc, Częstochowa — Wiktorja Grządzielska, Legjonowo — Andrzej Watkiewicz, Lublin.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp. Wiktorji Grządzielskiej z Legjonowa i Sewerynowi Wilgockiemu z Grabowa.

Wśród warjatów

Upiór zamku Sokolskich

(Romans)

37)

„Czwartego dnia“, — głos Anielci zadrżał znowu silniej, oczy napełniły się świeżemi łzami, „nadeszła ta nieszczęsna chwila, w której miałam stracić mojego drogiego towarzysza niedoli.“

„Nasze przedzieranie się przez krzaki stawało się coraz trudniejszem, coraz gęściejsze zarośla tamowały nam drogę, jak mur nieprzebity zatrzymywały nas powikłane i silnie spojone badyle i łodygi.

Niektóre krzaki były najeżone kolcami jak ostrza sztyletów. Coraz ostrożniej trzeba było postępować, zwłaszcza, że niektóre z tych zarośli były opatrzone kolcami, które zawierają w sobie truciznę. Jedno skaleczenie tego gatunku cierniem mogło nawet śmierć sprowadzić.

„Istwan przecinał swoim sztyletem powikłane powoje i łodygi, nieraz musieliśmy mały przeciętnie kawałek drogi całemi godzinami torować, zrozumie madame więc tę radość, jak po takiej mozolnej pracy napotkaliśmy znowu otwarte przestrzenie, które mogliśmy swobodnie i lekko przebiegać.

„Koło południa czwartego dnia natrafiliśmy znowu na taki nieprzebity mur zarosłych krzewów, powojów, łodyg i cierni. Istwan pracował w pocie czoła, wrzynając się w głębię, — nagle zakrzyknął przeraźliwie pokazując mi głębokie draśnięcie na lewej ręce, do którego krew napływała.

„Skaleczyłeś się, mój poczciwcze“, zawołałam, „ale Bogu dzięki to tylko mała rana, ona zagoi się niedługo, przecież głębsze rany od pazurów wilka na twej piersi zagoiły się w tym krótkim czasie już prawie zupełnie, — więc tem prędzej zabliźni się i ta mała ranka! To przecież nie niebezpieczne!

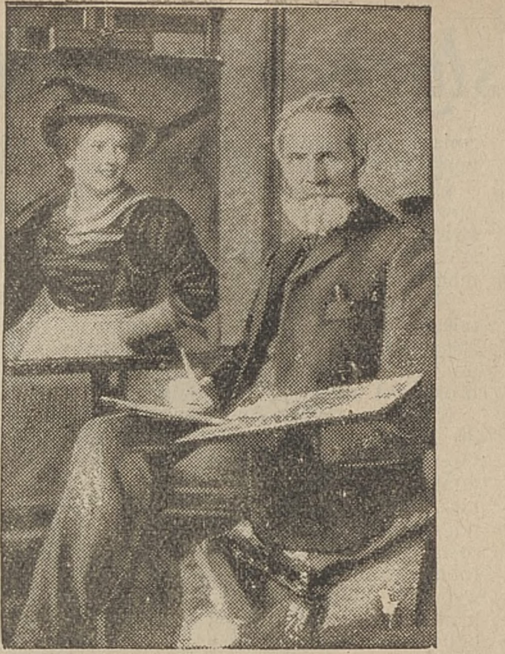
„Ale jedno spojrzenie w zbladłą twarz Istwana dało mi do zrozumienia, że musiało się coś okropnego wydarzyć.

„Jeszcze nigdy nie widziałam go tak przerażonego, z takim bezgranicznym przestrachem w oczach. Jak biała statua marmurowa stał przede mną niezdolny do ruchu, tylko szeroko rozwarte oczy patrzały na mnie z przerażeniem.

„Zgubionym!“ zawołał wreszcie ochrypłym głosem. „To ten przeklęty jadowity cierń, który znam aż za dobrze, wbił mi się w ciało. Nie pozostaje mi nic innego tylko albo odciąć sobie zaraz rękę, albo w boleściach czekać na zatrucie wszystkiej krwi w ciele. Ja wiem dobrze, że ten cierń jeden z najniebezpieczniejszych, małe zadraśnięcie nim sprowadza śmierć. Zgubiony każdy, kto się nim zrani.“

„Nie, nie, — to nieprawda“, krzyknęłam z boleścią, „to nie może być, zapewne cię okłamali ci, co ci o tem napowiadali, — to niemożebne, — popatrz tylko, jak niewinnie wygląda ten kolec —“

„Na miłość Boga, — nie dotykaj się go!“ zakrzyknął Istwan, „dosyć jednej



Setna rocznica urodzin znanego malarza. Przed stu laty 30 kwietnia urodził się słynny malarz tyrolski Franciszek Defregger, znany odtwórca krajobrazów alpejskich i typów górali.

ofiary. — Wprawdzie i tak zgubionaś, jak mnie stracisz, bo w jakiż sposób zdołasz dotrzeć przez te dzikie stepy do tego kraju, do którego dążymy! A zresztą, gdyby ci się nawet to udało, cóż poczniesz samotna pomiędzy obcymi, których nie znasz ani mowy, ani zwyczajów, ani religji, ani ich praw. O Boże, w jak straszne położenie wtrąciła nas Twa karząca ręka!“

„Po raz pierwszy, od czasu, jak poznałam Istwana, ogarnęło go zwątpienie. Zakrył sobie dłońmi twarz. Przez palce przeciekały mu wielkie łzy. — Łzy te nie były spowodowane bojaźnią śmierci, — troską o własną osobę, — wierne, poczciwe jego serce drżało tylko o mnie, bolało wskutek mnie, — za mną zanosił modły do nieba.

„Jeżeli niema innego ratunku“, zawołałam bliska szaleństwa, „to uczyń to straszne, coś przedtem wypowiedział, strać raczej rękę, aniżeli życie!“

„Rękę!“ wydobył ze siebie z trudem Istwan, kierując oczy z okropnym wyrazem na swoją lewicę, „rękę, — ha, — jeszcze czas! — Dobrze, — ja chcę, — ja muszę! Biada mi, nie mogę, — Anielciu, nie potrafię tego, — brak mi sił do tego!“

„Odwagi, Istwanie“, wołałam zrozpaczona, klękając przed nim i błagając go spojrzeniem, „to konieczne, jeżeli inaczej być nie może — do dzieła! Ja obwiążę ci rękę i opatrzę starannie, — tylko życie, — życie swoje ratuj!“

„Niechże będzie, — dobrze! Tutaj właśnie pień drzewa, — muszę ją nań położyć! — Bądź zdrowa, moja droga ręko, któraś mi tak długo wiernie służyła, — biedne me palce, wspomagałyście mnie i innych swą pracą, — wkrótce odpadniecie zdrętwiałe, — bez życia, — bez ruchu!“

„Obróciłam się, zakrywając oczy ręką, — łzy cisnęły mi się przemocą i spływały obficie po twarzy.

„Och, gdyby łzy moje miały siłę leczniczą, jakżeż skwapliwie skrapiałabym niemi tę biedną rękę, która tyle przysług mi już wyrządziła, — a teraz miało mi jej zabraknąć — na zawsze!

„Rzuciłam się na pierś nieszczęsnego, — ucałowałam mu czoło, — sam odpychał mnie od siebie. Ten ostatni obraz wbił mi się tak straszliwie w pamięć, że prześladuje mnie jeszcze teraz we dnie i w nocy okropnemi wizjami.

„Ukląkł przy pniu, — lewą rękę położył na drzewo, — prawicę uzbrojoną sztyletem podniósł w górę, — mimowoli poczęłam uciekać za pobliski krzak, tam rzuciłam się na ziemię i nadsłuchiwałam z gorączką, zatrzymując oddech, — postanowiłam sobie zaraz na pierwszy jęk wyskoczyć mu z pomocą, — będzie potrzebował przecież mojej usługi, — biedny nie zdołałby sobie nawet zatamować krwi, — obwiązać szczelnie ranę, a to przecież najważniejsze, zapobiec zbytniej utracie krwi, któraby go osłabiła, — może nawet i zabiła!

„Cisza zapanowała wokoło, — cisza grobowa! Czyżby zabrakło mu odwagi do uskutecznienia zamierzonej operacji?

— Nagle rozległ się jęk.. Nie, — to tylko moja wzburzona fantazja zwodziła mnie, — to nie był jęk rzeczywisty, — — to tylko moje nerwy oszukiwały mnie! Jeszcze ciągle cisza, — w strasznem rozdrażnieniu czekałam kilka minut, które zdały mi się ciągnąć latami, — może kwadrans minął, jakby cała wieczność dla mnie! Wreszcie zdobyłam się na odwagę, — przedarłam krzak oddzielający i zasłaniający mi Istwana, — wyszłam na wolne miejsce na ten sam plac, na którym go zostawiłam. — Okrzyk bolesny wydarł mi się z piersi, — Istwana nie było. Zniknął bez śladu.

„Pniak drzewa stał na tem samem miejscu, ale ani krwi nie było znać na nim, ani odcięta ręka nie leżała koło niego! A więc nie zdobył się na tę okropną operację, zabrakło mu odwagi lub siły!

„Ale gdzież uciekł, gdzie się skrył mój przyjaciel, — dlaczego mnie nie zawiadomił, że zrzeka się operacji, — nie chce uczynić ofiary? Poczęłam go szukać, — zaczęłam błąkać się w pustyni godzinę, — dwie, — trzy, niby zbłądzone zwierzę, daremnie wołałam go po imieniu, — wytężałam wzrok, — ani śladu po nim nie było, — żadnej odpowiedzi na moje rozpaczliwe wołania! Dopiero z nadejściem nocy przekonałam się niestety, żem opuszczona, — samotna, — bez pomocy, — sama jedna w tej straszliwej Barabie.

„Świadomość ta pozbawiła mnie prawie zmysłów. Razem z Istwanem musiałam walczyć nieraz z trwogą, jaka mnie opadała w tej okropnej pustyni, cóż dopiero teraz kiedym się uczuła opuszczoną, jak palec. Śmiertelny strach opanował mnie, — sparaliżował wszystkie moje siły.

„Drżałam za każdym szelestem. Wycie dzikich zwierząt w dali, — krakanie ptaków, — ba, nawet opadanie liści przejmowało mnie niewymowną obawą, — myślałam, że oszaleję ze strachu. Dygotałam na całem ciele, jak liść osiki, — czułam, że to nienaturalny stan, — że to chyba febra.



Na zdjęciu widzimy młodą pogromczynię dzikich zwierząt. Odwagą i doskonałem opanowaniem nerwów potrafi w krótkim już czasie ułaskawić i ujarzmić nawet bengalskiego tygrysa.

„Tak, to była febra, która mnie opadła i grasowała w mem ciele z niezwyczajną siłą. Febrę tę sprowadzają wypary, które unoszą się w tej dzikiej pustyni Baraby. Nikt nie przebiega bezkarnie przez dłuższy czas strasznej tej okolicy, chyba, że się opatrzy w namiot i poduszki, które go bronią w nocy przed wyparami ziemi.

„Początkowo poczęła w moich żyłach krew szybciej krążyć, jakaś dziwna odwaga, gotowość na wszystko rozwinęła się we mnie. Naturalnie był to stan anormalny, spowodowany gorączką. Niedługo jednak gorączka ustąpiła miejsca dreszczom. Członki stały się ciężkie jak ołów, — z trudem tylko wlokłam się powoli naprzód! Całą noc przepędziłam na ziemi, dzikie, fantastyczne wizje opadały mnie bezustanku, — był to dziwny stan, niby we śnie, niby na jawie, męczące obrazy wyłaniały się jakby z morza mgły i stawały mi przed oczyma. Kiedy wreszcie zaświtał ranek, znikło wprawdzie to całe morze szarych mgieł, ale z trudem tylko powstałam, — nie mogłam się nawet z początku utrzymać na nogach, a przecież musiałam iść naprzód, jeżeli nie chciałam zginąć marnie w tem pustkowiu.

„Na szczęście natrafiłam na źródło. Z chciwością napiłam się świeżej wody i to mnie trochę orzeźwiło, — tylko żywności mi brakowało. — Ale febra odjęła mi wszelki apetyt, — na razie nie dokuczał mi głód.

„Do południa wlokłam się powoli naprzód, przystając od czasu do czasu i zbierając nowe siły. Głowa pałała mi w skroniach, — puls bił z niezwyczajną siłą, — oczy świeciły gorączkowym ogniem, — język wysechł, — a jednak jakaś dziwna potęga zmuszała mnie do marszu!

„Naprzód, naprzód, inaczej przepadło wszystko"!

„Od czasu do czasu stawałam wołając Istwana po imieniu, jeszcze zawsze żywiłam nadzieję, że go odnajdę!"

„Niestety! Nie mogłam ani śladu jego napotkać! Nie wiedziałam, w której stronie Baraby się znajduje, — straciłam najzupełniej zmysł orjentowania się. Jak miałam Istwana koło siebie, zaufałam mu całkowicie, on mnie prowadził, — postępowałam za nim! Teraz nie miałam pojęcia, czy zbliżam się do Mandżurji, czy też oddalam się od niej! Pomimo tego szłam dalej, — wlokłam się naprzód! Byłam przekonaną, że jeszcze nie wszystko stracone, skoro poruszam się, — jak długo jestem w stanie iść dalej! Dopiero kiedy mnie całkowicie siły opuszczą, jak padnę na ziemię niezdolna do dalszego kroku, wówczas dopiero zgaśnie nadzieja ratunku! —

„Ile razy natrafiłam na wodę jakiej takiej dobroci, krzepiłam nią siły i to trzymało mnie jako tako. Ale koło południa pogorszył się mój stan tak zatrważająco, żem już myślała, że to ostatnia moja godzina.

„Nogi odmówiły mi posłuszeństwa, zaczęły puchnąć. Do tego buciki podarłam na cierniach i ostach, przez które musiałam się przedzierać. — Umysł stracił swoją pierwotną jasność, — myśli poczęły mi się w głowie mieszać. Nowe wizje zaczynały się zjawiać. Widziałam rzeczy, które mi moja fantazja czarowała na prędce. Zdawało mi się, że się znajduję w zamku księcia Borysa, — to znowu czułam się zamknięta w zakładzie obłąkanych doktora Morizano, daremnie siliłam się wywalić drzwi, przez które mogłabym się dostać na wolność, — od czasu do czasu zjawiał mi się Kazimierz, obejmywał mnie i przytrzymywał swojem silnem ramieniem, — począł mi słodko szeptać do ucha słowa zachęty, — przyciskając mnie do piersi!

„Ale i ten czarowny sen znikał! Coraz prędsze i straszliwsze widziadła, — z szybkością kręciło się tysiące obrazów naraz po moim mózgu, — ziemia poczęła tańcować razem ze mną, — nagle straciłam grunt, — jakieś spienione bałwany ogromnej wody poczęły mną kołysać, — unosić ze sobą w dal, — jeszcze kilka chwiejnych kroków, — upadłam!

„To mój koniec", poczęłam szeptać sama do siebie pocichu, — dziwna rzecz zamiast przerażenia, objęło mnie jakieś uczucie ulgi, — dziękowałam Bogu, że to już koniec mej boleści. Pocóż się dłużej męczyć? Poco dać się oszukiwać złudnym nadziejom? Tu w Barabie nie było więcej ratunku dla mnie, — teraz tylko śmierć musiała porządkiem rzeczy nastąpić!

„Wreszcie począł dobrotliwy anioł ciemności rozpościerać nade mną swe czarne skrzydła. Ostatkiem sił przywołałam sobie jeszcze na pamięć obraz ukochanego, — — potem — była noc — głęboka noc!

„Kiedym się przebudziła, — leżałam w jakiejś małej chatce na miękkiem posłaniu, nakrytem skórą tygrysa. Tuż koło mnie stał jakiś siwobrody mężczyzna, ubrany po europejsku. Za sobą ujrzałam kilku Chińczyków, którzy widocznie czekali na rozkazy swego pana. Siwobrody mąż pochylił się z troskliwością ojca nade mną, pytając, czy mi już lepiej.

„Był to angielski badacz przyrody, mister Edward Lowell.

„Nie byłam w Barabie, — znajdowałam się już w Mandżurji.

„Chęć rozszerzenia wiedzy przywiodła aż tutaj w te niedostępne, niezamieszkałe okolice angielskiego badacza przyrody. Miał ze sobą kilku najemnych ludzi, którzy mu byli pomocnymi przy zbieraniu kwiatów i ziół, jakie wcielał do swego zielnika.

„Chatka, w której leżałam, stanowiła jego pałac, jaki sobie przy pomocy chińskich najemnych sług zbudował. Składała się ona z długich bambusowych łodyg, pokrytych chińskim jedwabiem.

„Edward Lowell opowiadał, że znalazł mnie bez przytomności, bliską śmierci. Dużo się namęczył, zanim mnie przyprowadził do przytomności. Dwa dni minęło już od tego czasu i gdyby nie miał dostatecznego zapasu chininy, nie byłby w stanie zwalczyć mojej gorączki. Sama nie wiedziałam wówczas, czy mam temu człowiekowi dziękować za ocalenie życia i za jego starania koło mnie, bo cóż mnie oczekiwało w tych głębiach stepów! Drogi memu sercu był o tysiąc mil ode mnie oddalony, mój wierny towarzysz w stepie znikł bez śladu, nie miałam pojęcia, co się z nim stało, naturalnie musiałam przypuścić, że nie żył. Sama jedna, jeszcze do tego bez wszelkich środków, — suknie jedne, które na sobie miałam, były moją własnością, — cóż mnie mogło oczekiwać w przyszłości, chyba troski i zgryzota; — byłam samotną, opuszczoną nietylko w Barabie, ale i na całym świecie.

„A przecież powinnam była dziękować Bogu za to, żem znalazła tego zacnego męża, który nietylko uratował mi życie, ale podniósł zarazem mego złamanego ducha, wlał balsam w zbolałą mą pierś.

„Jak tylko wyznałam Lowellowi wszystkie moje dręczące troski, począł mnie pouczać i przekonywać, że każdy człowiek ma nie tylko prawo ale i obowiązek życia, że każdy z nas musi do końca wywalczyć walkę swego istnienia. — Był

on bardzo uczonym, ale i dziwakiem po trochu, ten pan mister Lowell. Względem mnie okazywał nadzwyczajną dobroć serca, podczas gdy względem swoich chińskich służących był nieubłaganym i nadzwyczaj surowym. Bali się go jak ognia, bo płacił im wprawdzie dobrze, ale i karał porządnie za najmniejszy błąd.

„Właśnie zamierzał mister Lowell powrócić do Mukden, gdyż uzupełnił już swoje zbiory. Naturalnie wziął mnie ze sobą i muszę to przyznać, zajmował się podczas całej długiej podróży mną tak pieczołowicie, jak rodzony ojciec.

„Gdyśmy dotarli wreszcie do Mukden, spytał mnie, co postanowiłam co do mego powrotu do kraju. Sam nie zdradzał wcale chęci powrotu do Europy, nie wiem z jakiej przyczyny, ale o ile mogłam się dorozumieć, należał on do tego gatunku ludzi, którzy pogardzają i nienawidzą każdego, co piętno człowieka nosi na sobie; widocznie na tym punkcie pesymizmu stał się dziwakiem. Co się tyczy mnie, — naturalnie tęskniłam za naszą cywilizacją, poczęłam więc prosić mego mister Lowella, aby był tak dobrym i dopomógł mi do powrotu do kraju, Zaraz drugiego dnia stanął przedemną oznajmiając mi, że jeszcze dzisiaj wypływa okręt z Niut-Chuang z kursem do Bordeaux.

„Wszelkie kroki poczyniłem i załatwiłem wszystko z kapitanem tego statku, ciągnął dalej Lowell. Otrzyma pani wygodną kajutę na okręcie. Spodziewam się, że w pełni zdrowia przybędzie pani do Bordeaux; — kapitana tego statku znam już od dłuższego czasu. Może mu pani pod każdym względem zawierzyć!"

„Podziękowałam Lowellowi serdecznie za wszystko. Wziął moją rękę i począł mi patrzyć w oczy dziwnym jakimś wzrokiem, jakim mnie jeszcze nigdy nie mierzył. Wreszcie odezwał się łagodnym, miękkim głosem, jakim jeszcze nigdy nie słyszałam go, by przemawiał:

„Well — pani mnie opuszcza, miss Angela! Przyspieszyłem pani odjazd, bo bałem się, abym jakiego głupstwa nie strzelił. Pani tak piękna, że dłuższy czas nie jest w stanie bawić koło pani mężczyzna bez niebezpieczeństwa zakochania się w pani. Dlatego bądź pani zdrową! Niech Bóg panią strzeże!"

„Odprowadził mnie na pokład okrętu i oddał mnie w opiekę kapitana, — zaraz potem opuściliśmy port Niut-Chuang. Długo stałam na pokładzie statku, powiewając chusteczką i przesyłając mu ostatnie pozdrowienia, żegnał mnie z brzegu skinieniem ręki, — poczem odwrócił się i odszedł samotny!

„Okręt, który mnie przywiózł do Bordeaux, nazywał się „Grande Nation". Był to śrubowiec parowy, który szedł ze zwojoną szybkością. Nie mogłam na nic narzekać. Tak kapitan okrętu jak i majtkowie obchodzili się ze mną z uprzejmością. Kajuta moja była nietylko wygodną, ale i z dostatkiem urządzoną. Ponieważ pogoda sprzyjała nam nadzwyczaj, więc podróż ta nietylko niebyła dla mnie uciążliwą, owszem była wypoczynkiem i cudownie służyła mi co do zdrowia. Tylko jedna troska gryzła mnie podczas podróży, a była to troska co do mojej najbliższej przyszłości.



Fragment z pogrzebu ś. p. Marszałka Piłsudskiego: za trumną postępuje w towarzystwie generałów P. Marszałkowa Piłsudska wraz z córeczkami.

„Nie mogłam się zdobyć na odwagę wyznać Lowellowi, że nie posiadam żadnych środków, — sam nie domyślił się widocznie tego, ani nie zastanowił się nad tem, w jaki sposób wydostanę się z Bordeaux. Nie miałam ani centa a kapitanowi nie mogłam przecież tego wyjawić, nie chciałam aż w ten sposób uniżyć się wobec niego".

„To była duma nie na miejscu!" przerwała madame Duprez opowiadającej. „Trzeba było się przyznać kapitanowi statku, ten zacny mąż byłby ci z pewnością pożyczył potrzebnej kwoty do dostania się do Paryża".

„Ach, madame!" zawołała Anielcia, „być może, że ma pani rację, nie powinnam była tak dalece się taić! Ale czyż nie ludzie zrobili mnie taką ostrożną; tylko na podstawie smutnych doświadczeń postanowiłam nie prosić nikogo o nic, bo jak wiadomo każda przysługa domaga się wzajemnej przysługi, powiedzmy odwzajemnienia! Przybywszy więc do Bordeaux stanęłam na trotuarze bez centa w kieszeni, w zupełnie mi nieznanem mieście, niemając żadnych krewnych, przyjaciół lub znajomych, niewiedząc w jaki sposób mam sobie bodaj na kawałek chleba zarobić. W całem mojem posiadaniu, z kosztowności miałam tylko jeden przedmiot. — Była to mała chińska, złotem wyłożona szkatułka, którą mi Lowell podarował na pamiątkę. Miała mi ona przypominać chwile z nim razem przeżyte. Długo szczałam ze sobą walkę, zanim postanowiłam sprzedać tę pamiątkę po tak zacnym, szlachetnym mężu, — ale musiało się stać! Miałam tylko wybór pomiędzy dwiema ostatecznościami, — albo stracić wszelką nadzieję i porwać się na własne życie, albo sprzedażą tej ostatniej pamiątki uzyskać środki, któreby mi umożliwiły powrót do Paryża. Naturalnie obrałam drugą ostateczność. Na szczęście przybyliśmy za białego dnia do Bordeaux. Pierwsza moja droga była do kupca podobnych dzieł sztuki. Nie spodziewałam się wiele za to dostać. Jakżeż więc przyjemnie byłam zdziwioną, kiedy kupiec oglądnąwszy szkatułkę uważnie ze wszystkich stron wypłacił mi za nią dwieście franków. Byłam więc w posiadaniu o wiele większej sumy, aniżeli zamarzyć przedtem mogłam! Nic nie trzymało mnie więcej w Bordeaux. Pokupiwszy sobie jeszcze parę kawałków bielizny i ubrania odjechałam tego samego dnia do Pryża.

„Stanęłam wreszcie w tej miljonowej stolicy, w pięknym Paryżu, w mieście najróżnorodniejszych zabaw i przyjemności, ale zarazem w siedzibie najstraszniejszej nędzy. Nie miałam nikogo, ktoby gościnnie otworzył przedemną drzwi do swego mieszkania, a nie znałam tych niebezpieczeństw, jakie kryje w sobie to miasto szczególnie dla ładnych twarzyczek, dla panien, których piękność przekleństwem na nich ciąży, porywając je w wir, — w zagubę. Na szczęście przypomniałam sobie jedną kobietę, która swojego czasu była posługaczką u mojego ojca. Odszukałam ją po dłuższym czasie, poczciwa zgodziła się podzielić ze mną swój mały pokoiczek, w którym mieszkała. Bogu dzięki znalazłam przynajmniej jedną duszę, która mnie znała i wiedziała, com ja za jedna. Niestety dobra ta kobiecina była głuchoniemą. Zaraz na drugi dzień oznajmiła mi na migi, że tylko w takim razie zatrzyma mnie u siebie, jeżeli potrafię się wykazać, żem znalazła jakieś rzetelne zajęcie.

„Zajęcie! Jak łatwo i zarazem jak trudno wyszukać sobie zajęcie. O, madame Duprez, pani to wie najlepiej, bo i pani przeszłość nie spoczywała na różach! Biada dziewczynie, która ośmieli się i zapuka do drzwi jakiegoś sklepu,



Rozpoczął się już przemiły okres wiosennych wycieczek. Zdjęcie przedstawia nam zwolenniczki pieszego sportu, zażywające słonecznych kąpieli.

prosząc o zajęcie! — Niestety ta droga tylko pozostawała mi. Rozmyślałam się, coby mi mogło przynieść zarobek. Mogłam uczyć kroju, lub sama zająć się krawieczczyzną, posiadałam także talent w sporządzaniu kapeluszy.

„Parę kapeluszy zrobiłam dla sąsiadek i to zrobiło mnie sławną na całe otoczenie. I dalsze partje przychodziły do mnie i zamawiały sobie od czasu do czasu kapelusze tak, że zarobek ten stanowił dla mnie skromną pomoc, — ale tylko pomoc, — nic więcej. — Poczęłam szukać stałych odbiorców po sklepach w Paryżu. Naturalnie musiałam zrobić to smutne doświadczenie, że przekleństwem jest dla dziewczyny posiadać regularne rysy i jaką taką niebrzydką postawę.

„Co, pani chce pracy?" szeptał mi jeden kupiec, czy zastępca tegoż; „ależ jak się jest tak piękną jak pani, nie potrzeba się przecież zamykać w stęchłej izbie i ślęczeć nad pracą, kłując sobie takie ładne, białe rączki igłą! Dzisiaj wieczór oczekuję panią u bramy St. Denis. Zrobię pani propozycję, zaręczam, że pani źle na tem nie wyjdzie, w każdym razie będzie pani mogła wygodnie życie prowadzić!"

„Uciekałam jak spłoszona sarna, jak tylko posłyszałam podobne słowa, a ileż to razy niestety, trafiały podobne propozycje moje uszy! Albo jak jaka dama, miała coś do rozkazywania w biurze, jakiemi krytycznemi spojrzeniami mierzyła mnie od stóp do głowy, odpowiadając wreszcie nosowym głosem:

„Nie mam nic dla panny!"

„Widocznie zazdrość grała w tem wielką rolę. Obawiała się, abym nie zbałamuciła przypadkiem jej męża lub synalka.

„Cztery tygodnie minęły. Gotówka moja wyczerpała się już tak znacznie, że najdalej na osiem dni wystarczały mi środki.

„Cóż mi innego pozostawało, jak skok do Sekwany, która już tylu ludziom po strasznych troskach i walkach uciążliwych służyła jako grób spokoju i odpoczynku.

„Znowu błąkałam się po ulicach. Na szczęście jakaś przyjazna gwiazda zawiodła mnie do pani, — do pani sklepu. Madame wyratowałaś mnie z nędzy i rozpaczy. Kazała mi pani usiąść i dała mi pani robotę do ręki mówiąc:

„Ja nie pytam się, skąd pani i co za jedna, tylko co pani umie! To protekcja, za którą można się do mnie dostać!"

„Tak. — tak się odezwałam do ciebie, moje dziecko", zawołała madame Duprez ściskając ręce Anielci, „zaraz z początku, jak tylko ukończyłaś w moich oczach pierwszą twą pracę, wiedziałam, że mam przed sobą artystkę fachu modniarskiego. Naturalnie zatrzymałam cię, nie mogłam przecież odrzucić tak znakomitej siły, — takiej podpory wybornej.

„Niestety, teraz muszę cię uwolnić, muszę się pożegnać z tobą, nie mogę przecież być ci przeszkodą w szczęściu, — służba w domu hrabianki Loli Sokolskiej to szczęście dla ciebie. Wszelkie dalsze względy co do mnie muszą ustąpić miejsca przed twym świetnym losem, — ja bo niczego więcej sobie nie życzę jak, abyś była szczęśliwą, moja kochana panno Anielciu!"

L.

Paryskie łotry.

Już jedenasta godzina mijała, jak Aniela żegnała się z madame Duprez. Przeczuły obie, że wieczór ten położył podwalinę do ich wspólnej serdecznej przyjaźni.

Anielcia otwarła swą duszę przed nową przyjaciółką, pozwalając jej wglądnąć w swe pełne przygód życie, — madame Duprez należała znowu do tych natur, które potrafią zrozumieć i odczuć cudze bóle i przejścia.

„Wieleś przecierpiała, moja droga Anielciu, w twem życiu", odezwała się, przyciskając na progu jadalnego pokoju młode, ładne dziewczę do serca, „ale nie trać nadziei i nie rozpaczaj, musisz odnaleźć jeszcze tego, któregoś tak silnie ukochała. Wedle tego, jak mi go skreśliłaś, dochowa ci wiary i nie sprzeniewierzy się. A teraz dobranoc, moje dziecko. Przykro mi tylko, że nie kazałam mojej służącej zaczekać, aby cię odprowadziła do domu".

„O, madame", odpowiedziała Anielcia, „ja spodziewam się dostać jeszcze omnibus na bulwarze Sebastopolskim, będę więc mogła pojechać".

Jeszcze ostatni uścisk ręki u bramy domu, Anielcia pobiegła na dół przez rue montmartre, spiesząc się o ile możności, aby na czas zajść na bulwar i móc dalej jechać aż do domu.

Nocni przechodnie mijali ją. Niejeden wpijał się wzrokiem w śliczne dziewczę. Anielcia musiała się rumienić, na szczęście miała dość gęstą woalkę na twarzy, którą zarzuciła, aby się ustrzec od natrętów.

Pomimo tego zaczepiali ją, odgadując po jej zgrabnych, eleganckich kształtach młodą, ładną dziewczynę. Niejeden zuchwały przystąpił do niej, wszczynając rozmowę. Broniła się tą jedyną bronią, jakiej może użyć porządna dziewczyna w takich wypadkach, — milczała, idąc spiesznie dalej, — nie zważając na napastnika. — Odetchnęła lżej, dotarłszy szczęśliwie do bulwaru. Elektryczne lampy oświetlały jasno cały plac. Tutaj było przecież bezpieczniej jak w ciasnych uliczkach, przez które musiała przechodzić.

Noc była chłodna, obwinęła się staranniej zarzutką, przyspieszając kroku, aby natrafić jeszcze na omnibus. Tuż przed nią szli jacyś dwaj mężczyźni, którzy wpadli jej w oko, bo bardzo odmienne mieli ubranie na sobie. Jeden z nich był, można powiedzieć elegancko ubrany, miał zgrabną, dość wysoką postawę, poruszał się niby światowiec z gracją i szykiem, — towarzysz zaś jego odbijał ogromnie jaskrawo od niego.

Jakiś stary, brudny pełen plam i tłuszczu płaszcz okrywał jego małą grubą figurkę, — szal wełniany był okręcony koło szyi, — na głowie miał wysoką czapkę, z pod której wyglądały siwe, rozczochrane włosy.

Anielcia chciała już przejść obok nich, ale w chwili kiedy się do nich zbliżyła, usłyszała, że rozmawiają po niemiecku, — właśnie doszły jej ucha następujące słowa:

„Mogę się więc na was spuścić, Habicht, — poznacie go niezawodnie".

„Na pierwszy rzut oka", odpowiedział mały gruby nieprzyjemnie skrzeczącym głosem. „Pokazaliście mi przecież jego fotografję, — a ja, jak raz zobaczę jaką facjatę, rozpoznam ją z tysiąca innych z dokładnością. To mi zostało w spadku z mego pierwotnego zajęcia, nauczyłem się wybornie rozróżniać najrozmaitsze twarze i zapamiętywać sobie je. Nie

nadarmo przecież byłem dziesięć lat tajnym, prywatnym ajentem policyjnym w Berlinie. W takiem wielkiem mieście musi się każdy nauczyć, czego mu potrzeba".

„Nie gadajcie tak głośno o Berlinie" przerwał mu elegant przyciszonym głosem, „nie śmiecie zapominać o tem, że policja ściga was wszędzie, — list gończy za wami musiał tak samo dojść do Paryża jak do Londynu i Petesburga! — Wyście przecież strasznie ponętnym kęsem dla policji, panie Habicht!"

„Ha, o tem wiem", zaśmiał się mały, gruby, „najchętniej chcieliby mnie mieć w Berlinie, aby się mogli ze mną porachować. Ale ja im coś zagwizdam, nie głupim dać się złapać. Tutaj, w Paryżu jestem tak bezpieczny, jak na łonie Abrahama. Żadna dziura choćby najmniejsza, — żadna kryjówka, — żadna najciaśniejsza uliczka nie jest mi nieznaną, chociaż dopiero trzeci rok praktykuję w Paryżu. Albo wymieńcie mi, choćby jednego paryskiego zbója, z którym bym się nie tykał, każdy gospodarz porządniejszy, ma się rozumieć taki, który zaprzyjaźnia się z moimi kompanami, nie odmówi mi kryjówki, jeśli się rozchodzi o to, aby zniknąć na jeden lub dwa tygodnie z powierzchni ziemi. Teraz mają tu już respekt przed Habichtem, i najdzikszy paryski nicpoń nie zaczepi się ze mną, bo wie, że niedobrze ze mną maczać w jednej misie chleb. Naturalnie wolą ze mną żyć w zgodzie, dlatego też na pierwsze gwizdnięcie mam zaraz z pięćdziesięciu koło siebie, którzy gotowi pójść ze mną w ogień i wodę!"

Anielcia przeraziła się, nie straciła ani słowa z tej interesującej rozmowy. Mówili po niemiecku, więc nie przypuszczali, aby ich kto rozumiał, dlatego też nie starali się wcale przyciszać głosu.

Młode dziewczę musiało przyjść do przekonania, że ma do czynienia z dwoma łotrami, członkami jakiejś strasz liwej bandy, która nigdzie nie jest niebezpieczniejszą jak w takim Paryżu, gdzie złoty przepych pod jednym dachem z najokropniejszą nędzą, gdzie na jednej ulicy dystyngowana rozmowa miesza się z najpodlejszym żargonem, najzacniejsze serca i uczucia pomieszane z mistrzami na noże.

Idąc za pierwszym popędem chciała jak najprędzej stracić ich z oczu i przejść na drugą stronę bulwaru, niechcąc się stykać z takiemi szumowinami, ale wrodzona ciekawość kobieca zwyciężyła. Tych parę słów, które słyszała, zainteresowało ją, mogła z nich poznać, że rozchodzi się o jakiś plan niecny, który widocznie jeszcze dzisiejszej nocy ma być uskutecznionym. — Z tego powodu nie odeszła, — postępowała tuż za nimi, natężając uszu, niechcąc ani słowa stracić z ich rozmowy, — może uda się jej przeszkodzić jakiejś zbrodni, uratować kogoś, na którego zamach ma być uczyniony.

„Ja wiem o tem, żeście w najlepszem świetle pomiędzy złoczyńcami, uzyskaliście najszerszą sławę", odparł drugi ubrany po elegancku, „właśnie dlatego



Chociaż wiosna już w pełni, jednakże woda w rzece jest jeszcze bardzo zimna. Zapalone miłośniczki konnej jazdy, które przepadają za dalekiemi wyścigami z przeszkodami, napotykają na opór swych wierzchowców... i konie boją się zimnej wody.

wybrałem was, Habicht, i dałem wam to zlecenie, myślę, że mnie zadowolicie, — do djabła trzy tysiące franków jest do zarobienia, — to nie bagatela, — naturalnie pod warunkiem, jeżeli się dobrze spiszecie".

Anielka zbladła pod swoją woalką. Głos tego mężczyzny, który teraz mówił, był jej jakoś tak dziwnie znanym, — ona musiała go już gdzieś słyszeć, — tylko w tej chwili nie mogła sobie przypomnieć, gdzie to było. Ale ten dziwnie ostry ton sznurował jej serce w piersiach, — przypominał jej jakąś straszną godzinę życia.

„Trzy tysiące franków", odparł Habicht, dawniejszy ajent policyjny, „kochany przyjacielu, jeżeli chcesz, abym ci wyznał prawdę, to suma ta za mała za mokrą robotę".

„Mokrą robotę, — co rozumiecie pod tem, panie Habicht?"

„No, może ma iść na sucho, przecież musi krew popłynąć!" zaśmiał się mały gruby obrzydliwym śmiechem, „a to przecież powinno, — he, — a może was źle zrozumiałem, kochany kolego, Alfredzie Robberze?"

Alfred Robber! — Jakby błyskawicą to był rzeczywiście ten nędznik, którego podsłuchała w zakładzie obłąkanych doktora Morizano. — Ten elegancko wystrojony mężczyzna, który o parę kroków przed nią kroczył po bulwarze Sebastopolskim, to był ten łotr, który popełnił zamach na Elzę Rodeń, wskutek czego jej Kazimierz musiał niewinnie cierpieć, — biedny Kazimierz, którego przez tak długi czas niestety z oczu straciła.

Anielcia zadrżała na całem ciele, — w następnej chwili jednak opanowała wzruszenie, postanowiła bądź co bądź iść dalej, aby się dowiedzieć, co za nową ofiarę obrali sobie dwaj znani złoczyńcy.

„Musimy się lepiej porozumieć", ciągnął dalej Habicht, „mamy przecież uprzątnąć tego mężczyznę, czyli powiedziawszy innemi słowy mamy go uczynić nieszkodliwym, tak przecież brzmiało wasze zlecenie. Ja myślę, że pchnięcie nożem będzie najodpowiedniejszem, — mam w tem wprawę i nie zwykłem chybiać. Jedno pchnięcie, — padnie bez krzyku i hałasu, — zaniemieje po wszystkie czasy".

„Co do tego, aby go zrobić nieszkodliwym, zgadzam się z wami jak najzupełniej", odparł Alfred Robber, „tylko co do sposobu, w jaki to chcecie wykonać, miałbym coś do zarzucenia. Pchnięcie nożem, to zawsze niepewna historja, — może trafić na jaką spinkę, — chybić! Choćbyście go nawet dobrze trafili, może zawołać o ratunek, — gotowibyście sobie sprowadzić na kark policję.

„Ja sam niedawno miałem nieprzyjemne doświadczenie co do noża. Byłbym był przysiągł, że trafiłem w samo serce, tymczasem niestety nie stało się, jak chciałem, — podlotek, któremu chciałem skrócić życie, żyje dotychczas".

„Ma na myśli Elzę Rodeń", wyszeptała Anielcia, „o niej opowiadał ten nędznik, — ohydny ten opryszek z takim spokojem, ba, z drwinami nawet wspominał o tym straszliwym uczynku, jakby się rozchodziło o jakąś najzwyczajniejszą rzecz w świecie".

„Nie", ciągnął dalej Alfred Robber, „nie jest potrzebnem, aby płynęła krew, — możecie mojego wybrańca o wiele

ciszej przetransportować na tamten świat!"

„Przyrzekliście mi przecież, że zamówicie sobie do pomocy Pifferona trupiarza i jego syna?"

„Tak jest, — tak przyrzekłem i tak zrobiłem, — Pifferon oczekuje nas na rogu ulicy, którąście mi wymienili. W kwadrans spotkamy się na umówionem miejscu".

„Przecież Pifferon trupiarz jest sławny z tego, że umie tak zręcznie swój sznur zarzucać na szyję swoich ofiar, jak jaki dziki swoje laso na stepach amerykańskich, — nazywają go przecież powszechnie w Paryżu koledzy jego kluczką".

„Całkiem słusznie, — on jest rzeczywiście mistrzem w swoim fachu, potrafi z równą pewnością zarzucić stryczek, jak drugi zmierzyć się ze strzelby. A jak kogo dostanie w swoją pętlicę, tego dusi z taką zimną krwią, jakby się rozchodziło tylko o skręcenie łebka wróblowi".

„Znakomicie, a więc zostawcie tę robotę dla Pifferona, potem zanieście trupa do Sekwany i wrzućcie go do wody. Będą myśleli, że się sam utopił, jeżeli go znajdą wogóle w rzece".

„No dobrze, niechże go kluczka zadusi, ale co z wami Alfredzie Robberze, nie chcecie być przy tem? — Do djabła, czemuż to tylko zezujecie z poza kulis, przecież do licha nie wzdrygacie się w potrzebie komuś łba ukręcić?"

„Poco te pytania," odparł Robber z dumą; „gdybym nie miał pieniędzy, musiałbym naturalnie sam przyłożyć ręki do dzieła, — ponieważ je jednak mam, płacę wam, aby przynajmniej w tem jednem mieć pewność, żem nie umaczał w tem własnych rąk. Ale poznacie napewne tego człowieka, — bo nie powinniście się omylić co do ofiary, i jakiego innego —"

„Tfu, do djabła, ile razy muszę was zapewniać, że co do tego wszelki błąd wykluczony? Powiedziałem wam przecież wyraźnie, przynieście mi jego fotografję, choćbyście ją mieli ukraść. Ukradliście ją rzeczywiście i przynieśliście mi do oglądnięcia. — Wszystko inne biorę na własną odpowiedzialność! Zresztą możecie się gdzieś w pobliżu schować, — jak tylko go zadusimy, zawołamy was, możecie zaglądnąć w twarz trupa, — przekonacie się przynajmniej żem się nie pomylił, żem wskazał prawdziwego".

Anielci biło serce jak młotem. Słyszała o skradzionej fotografji, — mimowoli przypomniała się jej kradzież portretu w pokoju sypialnym hrabianki Loli Sokolskiej. Widziała próżne drogocenne ramki, z których wyjęta była fotografja, — skradziony portret — złodziej tego obrazu nie był jej więcej nieznajomym, — to był Alfred Robber, nie kto inny, — on sam wykradł rzeczoną fotografję.

Ta myśl jednak naprowadziła jej natychmiast i inną myśl do głowy. — Święty Boże, to chyba niepodobne, — sama myśl o tem zmroziła jej krew w żyłach.

Przypuszczenie, że może się tu rozchodzić o narzeczonego hrabianki Loli przeraziło ją śmiertelnie. Niestety przypuszczenie to nie było bezpodstawnem, właśnie usłyszała jak mały gruby odezwał się do towarzysza:

„Musimy teraz skręcić na prawo, tam w tę boczną uliczkę, mamy przecież dojść do rue de Rivoli".

Teraz wiedziała Anielcia wszystko. A więc przed pałacem hrabiego Sokolskiego mają się zaczaić na ofiarę, na biednego nieszczęśliwego, któremu Alfred Robber śmierć w duszy zapisał. Z jakiego powodu? — Tego rzeczywiście nie mogła odgadnąć.

Naturalnie biedna ofiara nie przeczuwała nawet tego morderczego planu. Ze sercem wezbranem radością i szczęściem będzie wracał szczęśliwy narzeczony od swej ubóstwianej, z którą omówił był może właśnie najśliczniejsze plany na przyszłość, — a tu mordercy opłaceni czają się po kątach, — w jednym rogu mały gruby z nożem, — w drugim Pifferon trupiarz z postronkiem, — O Boże, cóż to za nikczemna tchórzliwa podłota, — co za zepsucie ludzkich dusz!

Anielcia poszła za znaną dwójką w małą boczną uliczkę, — wprawdzie trzymała się w niejakiem oddaleniu, przecież jednak nie chciała ich z oczu stracić.

Nadarmo rozglądała się za policjantem. Ani jeden nie zjawił się we wspomnianej uliczce. Zawołać któregoś z bulwaru Sebastopolskiego nie odważyła się, bo któżby jej zapewnił, czy podczas tego, kiedy będzie szukała za stróżem porządku, nie uprzątną tymczasem opryszki biednej ofiary.

Nie, nie pozostawało jej nic innego jak pójść za nimi, — w najgorszym razie zawoła głośno o pomoc, to spłoszy ich może, przynajmniej zwróci uwagę niczego nie przeczuwającej ofiary.

Alfred Robber i Habicht doszli do końca ślepej uliczki. Anielcia nie mogła ich wyminąć, bo inaczej zwróciłaby na siebie ich uwagę.

Schroniła się za gzyms muru czekając, kiedy ci nędznicy pójdą dalej. Ku niemałemu jednak jej zdziwieniu stanęli obaj. Habicht zagwizdał z lekka dwa razy; — był to widocznie umówiony sygnał, bo zaraz wyłoniły się z cieni nocy jakieś dwie inne postacie. Anielcia domyśliła się natychmiast, że to Pifferon i jego syn.

„Pifferon, to ty jesteś?" spytał Habicht zbliżających się, „masz ze sobą twego syna?"

„Jesteśmy obaj", odpowiedział cienki, piskliwy głos, „a to nasz pracodawca, co stoi przy tobie?"

„Naturalnie, — nie znasz go, — to Alfred Robber".

„Alfred Robber!" zawołał trupiarz, wyciągając rękę do elegancko ubranego z szyderczym uśmiechem, „wprawdzie nie widziałem was jeszcze, ale słyszałem zato wiele o was. Zdobyliście sobie już wielką sławę w Londynie i w Prusach. — No, tu wam także nie braknie roboty w Paryżu, — tu szerokie pole do działania, kto tylko wyćwiczy się dobrze w swojej sztuce, ten może dorobić się wielkiego majątku".

Opryszek, którego nazwali „kluczką", był wprost przeciwieństwem co do swego zewnętrznego wyglądu do małego grubego ajenta prywatnego policji, który uciekł z Berlina, aby tutaj w Paryżu się ukryć i zacząć na nowo swoją praktykę.

Trupiarz był wysokim, chudym, jak tyka chmielowa. Mimowoli musiał się każdy dziwić, że potrafią go unieść te cienkie długie nogi. Twarz jego przypominała żywo jego zatrudnienie, kubek w kubek była podobną do czaszki szkieletu, — kości policzkowe były ogromnie wystające, — oczy leżały w jamach, — usta były właściwie tylko zaznaczone dwoma linjami ciągnącemi się od ucha do ucha, jak je roztworzył, widać było tylko bezzębne szczęki. Wskutek ogromnej szczupłości porobiły mu się na czole, policzkach i skroniach całe zastępy zmarszczek i fałdów tak, że całe to oblicze było podobnem do zaschniętej mumji. Czarny surdut ściśle przylegający i takiegoż koloru spodnie stanowiły całe jego ubranie. Bielizny białej nie było widać na nim, zamiast kołnierzyka miał czarną chustkę obwiązaną koło szyi.

Jego syn, szesnastoletni wyrostek, był podobnym do ojca jak kropla wody, tylko, że młodość odebrała mu zmarszczki i złagodziła nieco straszne kontury rysów jego ojca. Ale i na tej stosunkowo młodej twarzy, widać już było rozlane zepsucie, niespokojne, pełne podstępu oczy zdradzały aż za nadto, że miał wyśmienitego nauczyciela we własnym ojcu.

„Masz przy sobie druciany postronek?" spytał Habicht.

„Tutaj schowany", odpowiedział trupiarz, wskazując na kieszeń surduta, „dopiero niedawno ulepszyłem go, teraz zaciska się łatwiej, nie wydostanie się żaden złapany z niego. Mam dzisiaj zrobić z niego może użytek?"

„Tak jest", odparł Alfred Robber, „naturalnie spuszczam się na waszą zręczność; — ten, którego wskazałem, nie śmie ani głosu ze siebie wydać".

„A czy kura potrafi pisać?" spytał trupiarz, „widzicie, tak samo ten nie potrafi krzyczeć, ja jestem pewnym mego dzieła jak zawsze. Tylko co do zapłaty, zgodziliście się już?"

„Alfred Robber płaci nam trzy tysiące franków. Za zobowiązanie: zrobić wszystko dokładnie sami, — trupa musimy potem wrzucić do Sekwany".

„Trzy tysiące franków", zawołał trupiarz przekrzywiając twarz wstrętnym uśmiechem, „na kości moich kochanek na cmentarzu Montmartre, to bardzo tanio! Tak tanio nie pracował jeszcze nigdy mój stryczek".

„Ale zato pozostawiam wam wszystko, co znajdziecie w pieniądzach i kosztownościach przy trupie", odparł Alfred Robber. „Możecie go ogołocić ze wszystkiego, zanim go wrzucicie do rzeki". —

„To się rozumie samo przez się", wmieszał się godny synalek trupiarza do targu, „tak przecież zawsze robimy, zawsze się zdziera wszystko z trupa, nawet ubranie mu się ściąga, — gołe ciało wrzucamy do Sekwany, to już z tego względu lepsze, że nie można tak łatwo rozpoznać zwłok". (C. d. n.)

HUMOR

Na podwieczorku

Pewnemu panu dano na podwieczorku do wyboru herbatę lub czarną kawę. Dowcipna pani domu zapytuje więc:

— Blondynkę czy brunetkę?

— Wszystko jedno, łaskawa Pani, byle była czysta, słodka i gorąca.

Fatalny skutek

Pani Krzykalska podarowała swej służącej bilet do teatru.

— No, jakżeż ci się podobało? — pyta, gdy wróciła.

— Bardzo dobrze, proszę pani, a szczególnie ta scena, gdy służąca powiada swej pani swoje zdanie.

Wdzięczność

Mały Edzio wpadł do rzeki. Jakiś chłop wyciągnął go z trudem, ratując chłopca od śmierci. Nazajutrz ojciec Edzia spotyka wybawcę swego syna w polu.

— Czy to pan wyratował wczoraj mojego syna?...

— Tak, proszę pana! To ja!.. Czy może chory?

— Nie, ja się tylko tak pytam — odpowiada ojciec Edzia. — Bo widzi pan, nie wiem, gdzie się jego czapka podziała...

Roztargniony profesor

Profesor Nieprzytomski wraca do domu przemoczony do nitki.

— Heljodorze! — woła przerażona małżonka. — Co ci się stało?

— Wyobraź sobie byłem w łaźni i zapomniałem się rozebrać.

Obawy starej panny

Sześćdziesięcioletnia ciotka Matylda jest starą panną.

— Nie masz pojęcia mój drogi — zwierzała mi się któregoś dnia — jak bardzo chciałabym mieć radjo!

— Dlaczego więc cioteczka nie kupuje sobie aparatu? — spytałem.

— O nie! To zupełnie wykluczone! Widzisz, mój kochany, u mnie ściany są bardzo cienkie, a moi sąsiedzi, słysząc rozmowy z radja, mogliby przypuszczać, że u mnie jest mężczyzna!

W pensjonacie

Pensjonarz do właścicielki pensjonatu:

— Proszę pani, co to jest co mi pani rano przysłała?

— Niby dlaczego pan pyta?

— Bo jeżeli to jest kawa to proszę o herbatę, a jeżeli herbata to proszę o kawę.

A to fatalność!

— Róziu! a co! znalazłaś mój grzebyk do włosów?

— Znalazłam, ale znowu gdziesik włosy pani zapodziały się.

Jakich fachowców mamy najwięcej?...

Szewców, którzy jak najchętniej szyją bliźnim buty.
Rybaków, łapiących w mętnej wodzie.
Piaskarzy, którzy lubią sypać piaskiem w oczy.
Golarzy, którzy golą bez mydła.
Meteorologów, którzy czują skąd wiatr wieje.
Młynarek, mielących ustawicznie językami.
Przewodniczek, które wodzą mężów za nos.
Ptaszników, którzy chcą trzymać kilka srok od razu za ogon.
Kasztaniarzy, którzy chętnie wyciągają pieczone kasztany z ognia cudzemi rękami.
Grafologów, którzy czują pismo nosem.
Lotników, którzy żyją z powietrza.
Sztukmistrzów, umiejących kiwać palcem w bucie.
Kopaczy, co pod innymi dołki kopią.

Męczeństwo

— Okazuje się, że najwytrwalsza na ból jest kobieta.

— Czy ci to lekarz powiedział?

— Nie szewc.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł 2,85. Pod opaską miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 miesięcznie. W razie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8

Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się.

P. K. O. Nr. 207.393

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str. 225,- zł itd. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Red. nacz. i wydawca: Alfred Ksycki — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki, Żnin.